CENA 10,— z.

POLSKA ZACHODNIA

TYGODNIK ILUSTROWANY

ROK III NR 33 (106)
POZNAŃ, 17 SIERPNIA 1947 R.

TREŚĆ NUMERU:

Kongresy mniejszości narodowej — Żniwa pomyślne, chleba nie zabraknie — Fakty i oceny: 1) Szkodliwa zabawa, 2) Pod hasłem zdrowia, 3) O Polaków z Westfalii — Sprawy niemieckie: Walka polityczna w strefach zachodnich — Stinne znowu na widowni — Szukają króla — Udział Śląska w polskim życiu kulturalnym — Migawki historyczne z Bytomia — Z wędrówek po ziemi mazurskiej — Teatr wrocławski ma dobre imię — Dzieci polskie z Niemiec na koloniach letnich — Polonia w Argentynie — Kronika słowiańska — Kronika Ziem Zachodnich — Książki i czasopisma

Uniwersytet Gdański Biblioteka

CIV 9038

Kongresy mniejszości narodowej

Lata po pierwszej wojnie światowej niemiecka propaganda wyzyskała na szermowanie aktualnymi wówczas hasłami samookreślenia narodów, powołując się przy tym (co za parodia!) na znane 13 punktów Wilsona.

Na tak przygotowanym gruncie w 1925 r. wystąpili Niemcy bałtyccy z inicjatywą zorganizowania Kongresu Mniejszości Narodowej. Kongres taki rzeczywiście został zorganizowany w tym roku w Genewie, przy współudziale bardzo licznych delegatów mniejszości narodowych niemieckich z państw środkowej i południowej Europy. Udział w nim wzięli również Polacy z Niemiec i z pozostałych państw, zamieszkałych przez polską mniejszość narodową, Duńczycy, Serbo-Łużyczanie i kilka innych narodowości.

Na pierwszym Kongresie zarysowały się wyraźnie różnice ideologiczne między Polakami a Niemcami. Niemcy wysunęli koncepcję „autonomii kulturalnej", uzasadniając określenie przynależności do mniejszości według zasady „przyznawania się". Polacy z Niemiec wysunęli natomiast zasadę „lojalności".

Autonomia kulturalna miała być faktycznie, — co w parę lat później zaczął z całą bezwzględnością realizować Hitler, — gettem dla poszczególnych mniejszości narodowych. Ubrana w szumne frazesy międzynarodowej ochrony praw mniejszości narodowych, faktycznie dawała przywileje dla ekonomicznie silnych grup narodowościowych, znajdujących nadto oparcie w jednym z państw, natomiast słabe narodowości narażała na politykę eksterminacyjną ze strony narodu państwowego, dzięki zasadzie tzw. „katastru narodowościowego".

Naturalnie, że w słowach brzmiało to bardzo pięknie: do mniejszości narodowych zaliczany ma być każdy, kto przyznaje się do tej mniejszości. Ale co się na tymi słowami kryje, wiedzieli dobrze tylko Polacy z Niemiec, Duńczycy i Serbowie Łużyccy.

Wpisanie do katastru narodowościowego dla tych mniejszości biednych, proletariackich, zależnych materialnie od warstwy kapitalistów niemieckich, prowadziło w prostej linii do zaparcia się narodowego w imię kawałka chleba, pracy w kopalni, czy nędznego życia na małym kawałku roli, zależnym od gospodarki wielkofolwarcznej.

Zasadzie „przyznawania się" i związanego z tym katastrem narodowościowym, Polacy — na czele których wyróżniała się inicjatywą delegacja Polaków z Niemiec — oraz Duńczycy i Serbo - Łużyczanie przeciwstawili zasadę „poczucia". Do danej narodowości należy ten, kto ma poczucie odrębności narodowej i kto należy do danej grupy językowej. Ze swojej strony grupa polsko - duńsko - łużycka wysunęła zasadę lojalności państwowej jako kardynalnego warunku, obowiązującego wszystkie gruby mniejszości narodowych biorących udział w kongresach. Przeprowadzanie tej zasady wykluczało możliwość debat na temat zmian granic państwowych, co mogło prowadzić do mieszania się mniejszości do polityki państw, a czego należało unikać, jeżeli kongresy miały się odbywać w atmosferze pokojowej.

W toku dyskusji Niemcy wysunęli projekt, że w zamian za lojalność ze strony mniejszości narodowej państwo zobowiązane jest dać autonomię kulturalną. Energiczna kontrakcja polsko-duńsko-łużycka, która znalazła poparcie ze strony innych mniejszości narodowych słowiańskich (Chorwatów, Słoweńców i Czechów z Austrii) oraz niektórych grup żydowskich, obaliła ten projekt warunkowej lojalności, o który chodziło Niemcom w szczególności z Polski i z krajów bałtyckich.

Obok wyżej omówionych różnic ideologicznych wystąpiła już na pierwszym kongresie w Genewie w 1925 r. sprawa taktyki i powiedzmy polityki kongresowej organizatorów kongresu (Niemcy z państw bałtyckich), w zakresie dopuszczenia poszczególnych mniejszości narodowych do udziału w kongresach.

Niemieccy uczestnicy kongresów przychylnie ustosunkowali się do spraw przyjęcia Ukraińców, Białorusinów i Litwinów z Polski, oraz Macedończyków z Jugosławii, natomiast nie chcieli dopuścić do uczestnictwa Fryzów z Niemiec i Litwinów z Prus Wschodnich.

Pierwsza grupa mniejszości narodowych stała na stanowisku, że jest większością na swoim terenie i odrzucała zasady bezwzględnej lojalności, żądając zmian istniejących granic państwowych.

Druga natomiast stała na zasadzie bezwzględnej lojalności oraz w oczach niemieckich organizatorów Kongresu miała ten minus, że pochodziła z Rzeszy Niemieckiej.

Dla Niemców, bez względu na ich miejsce zamieszkania, nacjonaliści ukraińscy w Polsce i irredentyści macedońscy z Jugosławii (oni to w parę lat później zamordowali króla Aleksandra w Marsylii), byli bardzo wygodni jako powolne narzędzie polityki Rzeszy Niemieckiej. Natomiast Fryzowie z Niemiec burzyli legendę o jednolitym pod względem narodościowym charakterze Rzeszy Niemieckiej, nadto stwarzali precedens do żądania do przyjęcia do kongresów innych mniejszości narodowych zachodnich, jak np. Niemców z Francji, co dla polityki Rzeszy Niemieckiej było niewygodne, ponieważ mogło przedwcześnie obudzić czujność społeczeństw i mocarstw zachodnio-europejskich.

W tej taktyce organizatorów kongresów genewskich z 1925 r. i następnych widać zarysy przyszłej polityki, realizowanej później przez Hitlera jak współpracę Niemiec z nacjonalistami ukraińskimi, Litwinami i Macedończykami. Taktyka ta prowadziła do podziału uczestników kongresu na silne i słabe mniejszości, czyli na mniejszości wśród mniejszości.

Przeciwstawił się temu solidarny blok polsko - duńsko - łużycki. Powstałych na tym tle różnice

(Ciąg dalszy na stronie 2-giej)

Kończą się wakacje i urlopy

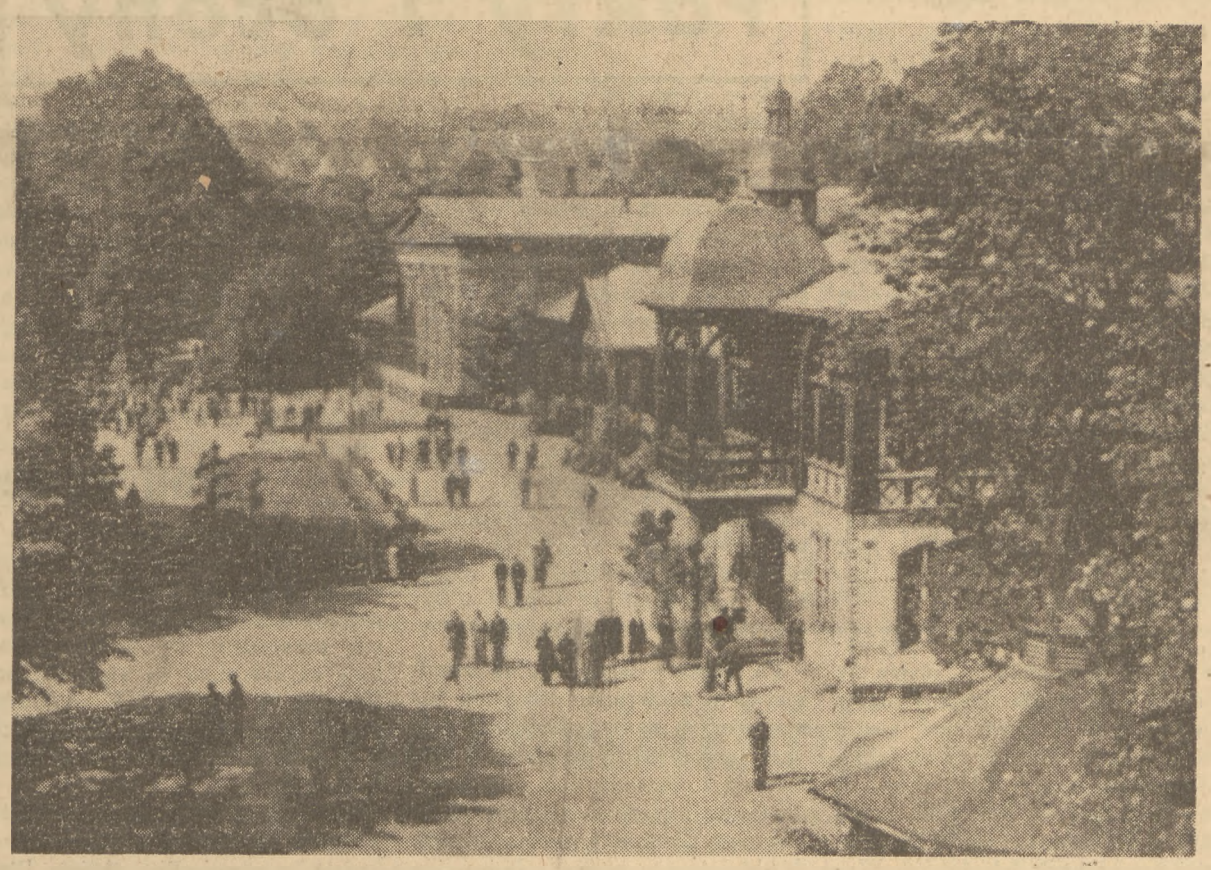

Na deptaku w pięknym parku w Solicach — Zdroju jest jeszcze rojno.

„...na plaży w Międzyzdrojach w pochmurne dni jest już pusto i głucho.

ROZPOCZYNAMY

w dzisiejszym numerze druk pogodnego i pełnego humoru opowiadania

Tadeusza Kraszewskiego

pt. „Wielkie dni pana Nowaka" o tzw. „pionierstwie" na Zachodzie.

* * *

ZAPOWIADAMY

druk artykułów St. Pieńkowskiego, na temat szkolnictwa polskiego na Ziemiach Odzyskanych w okresie międzywojennym, który zapozna Czytelników z ciężką walką, jaką toczyć musiała z Niemcami ludność polska na tych ziemiach osiadła.

Pierwszy artykuł ukaże się w następnym numerze naszego pisma.

BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W BYDGOSZCZY

DM 55/052

Kongresy mniejszości narodowej

(Dokończenie ze str. 1)

zdań nie udało się usunąć w czasie pierwszego ani drugiego kongresu, który miał miejsce w 1926 r. Sprawa pozostała otwarta do trzeciego kongresu w 1927 r. również w Genewie.

Kiedy prezydium tego ostatniego kongresu zwlekało z decyzją w sprawie przyjęcia do swego grona Fryzów, grupa polsko-duńsko-łużycka postanowiła wystąpić z instytucji tzw. „Genewskich Kongresów Mniejszości Narodowych", zrywając tym samym blok solidarności mniejszości narodowych.

W odczytanej przez przewodniczącego polskiej delegacji w imieniu „Związku Mniejszości Narodowej w Niemczech" deklaracji czytamy m. in. następujące motywy uzasadniające wystąpienie:

„Wszelkimi środkami zabiegano o pozyskanie mniejszości irredentystycznych, podczas gdy sprawę lojalną mniejszości fryzyjskiej przewlekano od pierwszego kongresu i dziś jeszcze się ją odwleka".

Znaczenie wystąpienia z kongresów genewskich Polaków, najsilniejszej grupy niemieckiej wśród mniejszości narodowej i poparcie tego stanowiska przez Duńczyków, Serbo-Łużyczan i inne grupy mniejszości narodowych słowiańskich, miało doniosłe znaczenie polityczne. Stało się to na oczach całego zachodu i odbiło się szerokiem echem w ówczesnej prasie europejskiej. Niemcom odebrane zostało tzw. moralne przewodnictwo wśród mniejszości narodowych.

Kongresy Mniejszości Narodowych wprawdzie odbywały się corocznie w dalszym ciągu w Genewie, a później w innych stolicach europejskich, ale brak w nich przedstawicieli mniejszości narodowych z Niemiec, a przede wszystkim Polaków, podkreślał ich właściwą rolę — narzędzia polityki Rzeszy Niemieckiej i czynnika jątrzącego, a nie łagodzącego tarcia w Europie przedwojennej.

Z chwilą dojścia Hitlera do władzy, kongresy mniejszości narodowych, kierowane przez grupy mniejszości niemieckich, podporządkowały się jego wymogom politycznym i posługiwały się karkołomną argumentacją narodowo-socjalistyczną, broniąc stanowiska Rzeszy Niemieckiej w sprawie Żydów, twierdząc w obłudny sposób, że eksterminacja Żydów w Rzeszy Niemieckiej przywraca narodowi żydowskiemu zgermanizowane elementy żydowskie i tym samym popiera narodowo-żydowskie cele polityczne.

Obłuda argumentacji przyjętej przez kongresy mniejszości narodowej bodaj czy nie u szczytu stanęła podczas XIV Kongresu w Sztokholmie w 1938 uchwalając dosłownie: „Kongres Mniejszości Narodowych zwraca się do rządów państw europejskich z usilnym apelem przeprowadzenia zmiany systemu w kierunku zabezpieczenia narodowościom prawa do życia w dziedzinie równouprawnienia politycznego i kulturalnego zwłaszcza w szkole, kościele i stosunkach gospodarczych".

Była to przygrywka wtórowana przez mniejszości niemieckie całej Europy do mów i czynów Hitlera w przededniu wojny. Prasa szwedzka w związku z tym pisała, że Kongres zamiast występować przeciwko dyktatorom występuje przeciw Lidze Narodów, że jest zupełnie opanowany przez Niemców a brak w nim Polaków, Duńczyków i Żydów.

Prasa anglosaska milczała.

Potem nastąpiła wojna.

A dziś?

— Dziś znowu „biedne" Niemcy wysuwają się na widownię świata.

St. Pieńkowski

Uwaga. Podstawą artykułu były materiały zawarte w rocznikach „Spraw Narodowościowych" z lat 1927—1938.

Żniwa pomyślne — chleba nie zabraknie

Główny Pełnomocnik Akcji Siewnej ppłk Stanisław Lenkiewicz pisze na temat żniw tegorocznych, m. in. na Ziemiach Odzyskanych, co następuje:

Do oficjalnej oceny zbiorów powołane są takie instytucje, jak Główny Urząd Statystyczny, Centralny Urząd Planowania, Min. Rolnictwa i R. R., Ministerstwo Aprowizacji i inne. Tym niemniej przeciętny obywatel, robotnik, chłop, pracownik umysłowy, nie czekając na oficjalną ocenę, zadaje sobie pytanie już dzisiaj: jakie są zbiory, czy wystarczy w kraju chleba, czy nastąpi zniżka ceny na chleb?

Na podstawie orientacyjnej oceny stwierdzić należy, że ogólna powierzchnia obsiewów w roku bieżącym poważnie wzrosła. Że powierzchnia odłogów w całym kraju wybitnie zmalała. Gdy w zeszłym roku w całym kraju było ok. trzech i pół miliona odłogów, w tym na Ziemiach Odzyskanych ok. dwóch milionów sześćset tysięcy ha, to w roku bieżącym ilość odłogów można w przybliżeniu ocenić na około dwa miliony hektarów, z czego na Ziemiach Odzyskanych ok. milion sześćset tysięcy ha. Na starych terenach odłogi można ocenić na około czterysta tysięcy ha i to przede wszystkim w województwach południowo-wschodnich, gdzie powstały one na skutek zbrodniczej działalności band UPA. Prawie całkowita likwidacja odłogów na starych terenach i zmniejszenie — dzięki pomocy państwa — odłogów na nowych terenach do miliona sześciuset tysięcy, czyli **wzrost powierzchni obsiewów w ciągu roku prawie o półtora miliona hektarów może być wymownym dowodem, że sytuacja tegoroczna jest znacznie lepsza, niż w roku 1946.** Śmiało można powiedzieć, że gdyby nie ostra zima i susze w okresie wiosennym, moglibyśmy posiadać poważne rezerwy zbożowe. Deszcze w okresie letnim poważnie poprawiły sytuację. Na terenach wilgotniejszych zbiory są dobre lub bardzo dobre. Na terenach wyżynnych średnie, lub dobre. Ale na ogół stwierdzić można, **że chleba w Polsce nie zabraknie.**

Fundusz Aprowizacyjny przez zorganizowany skup zboża i innych ziemiopłodów nie dopuści do gwałtownej zniżki cen i nie pozwoli, aby rolnik stał się pastwą różnych spekulantów zbożowych, tanio kupujących zboże od rolnika po zbiorach i drogo sprzedających to samo zboże robotnikom na przednówku.

Na ogół, jak sygnalizują ze wszystkich województw — zbiory przebiegają pomyślnie. Poważny procent zebranego zboża jest już zwieziony do stodół i złożony w sterty. Zboże jare i ziemniaki zapowiadają się bardzo dobrze.

To, że sytuacja na naszych polach jest niezła, to, że na Ziemiach Odzyskanych do zbioru w tym roku będzie ok. 3,5 miliona hektarów, czyli o przeszło milion więcej, niż w roku ubiegłym, nie jest dziełem przypadku. Rolnik polski zwiększając powierzchnię obsiewu, dokumentuje swoje przywiązanie do ziemi, dokumentuje swój patriotyzm. **Państwo Ludowe doceniając znaczenie chłopskiego warsztatu rolnego jako producenta chleba i surowców przemysłowych od zarania swego powstania niesie wytężoną pomoc w kierunku odbudowy zniszczonych gospodarstw chłopskich i likwidacji odłogów.**

Już wiosną 1945 roku Państwo rozdało na skrypty dłużne i sprzedało po cenach państwowych najbiedniejszym rolnikom 93.000 ton zbóż i różnych nasion oraz 90.000 ton ziemniaków.

Jesienią 1945 roku rolnicy otrzymali 41.000 ton żyta i pszenicy na skrypty dłużne, **a na Ziemiach Odzyskanych w tymże czasie Państwo wykonało osadnikom bezpłatnych orek traktorami na 143.000.000 złotych.**

Wiosną 1946 roku na Ziemie Odzyskane i na stare powiaty zniszczone, Państwo skierowało jako pomoc rolnikom na skrypt dłużny 205.000 ton zbóż jarych i różnych nasion oraz 130.000 ton ziemniaków.

W tymże czasie na Ziemiach Odzyskanych wyorano osadnikom pól traktorami na skrypt dłużny na ogólną sumę 736.000.000 złotych.

Jesienią 1946 roku całą pomoc w ilości 112.000 ton ziarna ozimego skierowano na Ziemie Odzyskane, poza tym uruchomiono rolnikom kredyt na zakup materiału siewnego w wysokości 453.000.000 złotych. Jednocześnie rolnicy otrzymali kredyt na orki traktorami w wysokości 80.000.000 złotych.

Wiosną 1947 roku osadnicy na Ziemiach Odzyskanych otrzymali pomoc siewną w postaci 65.000 ton zbóż i nasion oraz 71.000 ton ziemniaków.

Oprócz tego uruchomiony był dla Ziem Odzyskanych kredyt na kupno nasion w wysokości 130.000.000 złotych, kredyt nawozowy 70.000.000 złotych, kredyt na orki traktorami 120.000.000 złotych. Nie wyliczam pozostałych kredytów, jakie otrzymali rolnicy na starych terenach, a które wynoszą kilka miliardów złotych.

Oto jest źródło siły warsztatu rolnego w Polsce Ludowej. **Pracowitość rolnika, niskie podatki, duża pomoc Państwa Demokratycznego na dogodnych warunkach — są to momenty, dzięki którym żniwa na naszych polach wyglądają dobrze, a jeszcze lepiej będą wyglądać w roku przyszłym.** Rozumie to każdy świadomy budowniczy wspólnego domu — Polski Ludowej. Powinien to zrozumieć także ten, kto w zaślepieniu uchyla się od tej budowy.

Szkodliwa zabawa

Ustawiczna zmiana nazw miejscowości na Ziemiach Zachodnich, szczególnie na Dolnym Śląsku była i jest w dalszym ciągu tematem, który psuje krew i z równowagi może wyprowadzić nawet najspokojniejszych obywateli. Na łamach „Polski Zachodniej" wielokrotnie zabieraliśmy w tym przedmiocie głos, domagając się od odpowiedzialnych za ten stan rzeczy czynników, aby raz wreszcie ustaliły zgodnie z tradycjami i historią polską tych ziem definitywne nazwy miejscowości.

Świeżo znowu sprawę tę poruszył w warszawskim „Głosie Ludu" Jerzy Kuryluk, nie ukrywając swego oburzenia z powodu tej „szkodliwej zabawy". Oto co czytamy w wspomnianym artykule:

„Każdy, kto odwiedza przepiękne okolice Karkonoszy, „zżyma się i dąsa" na ciągłe zmiany nazw miejscowości. Temat ten został podchwycony przez wszędobylskich dziennikarzy. Pisali o tym ci i owi, ukazało się sporo dłuższych i krótszych notatek, mniej lub bardziej dowcipnych felietonów. Wydaje mi się jednak, że samo zagadnienie jest znacznie poważniejsze. W ciągłych zmianach nazw miejscowości, w trakcie tychże niektóre miejscowości powiatu jeleniogórskiego zmieniały nazwę nawet czterokrotnie, widzę nieumyślne czy może nawet umyślne szkodnictwo! A dlaczego szkodnictwo — zaraz udowodnię.

Po pierwsze — zmiana nazwy miejscowości pociąga za sobą poważne koszty, które lepiej byłoby przeznaczyć na inne, bardziej produkcyjne cele. Zarabiają malarze szyldów, wytwórcy pieczątek, drukarnie itp., natomiast tracą wiele zdrowia i nerwów mieszkańcy tych okolic...

Po drugie trudno się dopatrzyć w tych zmianach jakiegoś sensu, poza tym, że jeżdżą sobie różne komisje, pobierają diety i... wymyślają często cudaczne nazwy.

Nikt mi nie wytłumaczy, czemu np. dawne niemieckie Schmiedeberg przemianowywano kolejno na: Kuźnick, Kowalowa Góra, Krzyżatka, aby wreszcie skończyć na nazwie Kowary? Agnatendorf, słusznie nazwany początkowo Agnieszkowem, nazwano Jagniątkowem. Zmieniono nazwę Matejkowic, zacierając pewną tradycję, gdyż tutaj jeśli się nie mylę, odnaleziono wywiezione przez Niemców wielkie obrazy historyczne Matejki. Miejscowość Arnsdorf nazwano początkowo Jurantowem, później — Hlondowem. Nikt mnie nie posądzi o specjalną sympatię dla kardynała Hlonda, ale zmieniać obecnie nazwę tej miejscowości na Milków (czy na intencję administratora apostolskiego diecezji wrocławskiej ks. Milika) — jest jednak grubą nieprzyzwoitością!

Po trzecie — dopatruję się szkodnictwa w zacieraniu dawnych, historycznych nazw polskich. Najjaskrawszym tutaj przykładem jest historia z miejscowością Chojnasty. Jest ona związana historycznie z zamkiem Chojnasty (niem. Kynast), dźwigniętym przez Bolesława Krzywoustego na miejscu, gdzie wg przypuszczeń, które może już w najbliższym czasie zostaną potwierdzone przez wykopaliska — wznosiło się w IX wieku prasłowiańskie grodziszcze.

W podstawowym dziele Damrotha „Die älteren Ortsnamen Schlesiens" (1896) na str. 165 mamy wyraźnie podaną w polskiej pisowni nazwę „Chojnasty". To samo pokazano mi w książce o Karkonoszach, wydanej we Wrocławiu 1898 (str. 181). Dlaczego więc ktoś nieodpowiedzialny zmienia nazwę Chojnasty na nic nie mówiący, nie związany z żadną historyczną, prapolską i prasłowiańską tradycją — Sobieszów?

Po czwarte — mania ciągłych zmian wprowadza poczucie niestałości, niepewności. Jest to szczególnie szkodliwe na tych ziemiach, zaludnionych przez przybyszów z dalekich okolic kraju, nieraz czujących się jeszcze nieco obco, a straszonych przez mającą polityczne cele plotkę...

Po piąte — ku uwadze odpowiednich „czynników miarodajnych" pozwalam sobie przytoczyć zasłyszaną przeze mnie osobiście scenkę przy kasie kolejowej. Ktoś prosi o bilet do Krzyżatki (nie wiedział biedak, że nazwa ta była aktualna przed paroma tygodniami). Kasjerka nie rozumie, o jaką stację mu chodzi. Czy może o Kowary? Dyskusja się przedłuża. Wreszcie — ustalają zgodnie, że chodzi im o... Schmiedeberg! Dogadali się. Tylko szkoda, **że podstawą porozumienia stała się dawna nazwa niemiecka!**

Na podstawie tego autentycznego wypadku pozwalam sobie wyrazić przypuszczenie, że zrozpaczona ludność miejscowa coraz częściej będzie wracała do dawnych nazw niemieckich, które mają bezsporną decydującą zaletę: są stałe (!?)"

Tu trzeba się w końcu wyraźnie zapytać: kto u licha o tym decyduje?

Fakty i oceny

Pod hasłem zdrowia...

W ostatnim numerze „Odry" Wilhelm Spewczyk zajął się sprawą przyjęcia do PEN-klubu pisarzy niemieckich, która, jak wiadomo, przerodziła się w walną batalię na szerokim tle stosunku do Niemiec w ogóle. W konkluzji swych interesujących rozważań, autor artykułu stawia następującą tezę:

Bitwa pod Zurychem postawiła w ogóle najważniejsze pytanie: co zrobić z niemieckim życiem literackim, co zrobić z pisarzami? Z jednej strony przydałaby się jakaś literacka Norymberga. Stu blisko pisarzy hitlerowskich czeka na sąd, a ponieważ nie może się go doczekać, przenikają w życie, piszą, rehabilitują się, szukają przyjaciół. Z drugiej strony grupa pisarzy antyfaszystowskich ulega czytelnikowi, daje się terroryzować, pozwala się odurzać patriotycznie.

Wydaje się zatem rzeczą słuszną, by czy to przez PEN-klub czy też za pomocą jakiegokolwiek innego czynnika międzynarodowego zaczęto współdziałać w kształtowaniu nowych literackich Niemiec pod hasłem zdrowia. Nie jest tu rzeczą ważną, czy Niemcy będą członkami PEN-klubu czy też nie, ważną natomiast jest rzeczą, by PEN-klub zajął się Niemcami bez względu na ich ewtl. przynależność członkowską do klubu. Trzeba wiele spraw w niemieckim życiu literackim uregulować. Uczynić to należy z tego samego tytułu, z jakiego Rada Sojusznicza reguluje i kształtuje życie polityczne i gospodarcze Niemiec.

O Polaków z Westfalii

Wśród argumentów niemieckich przeciwko naszym granicom zachodnim — pisze „Robotnik" warszawski — niemałą rolę odgrywa tzw. „przeludnienie". Przy różnych okazjach „uczeni" niemieccy wykazują, że zachodnie strefy Niemiec są przeludnione, że brak tam żywności itd. Wielu Anglików daje wiarę tej argumentacji.

Zdawałoby się, że wobec tego wyjazd około 100.000 osób z zachodnich Niemiec do Polski powinien wywołać entuzjazm zarówno Niemców, jak i brytyjskich władz okupacyjnych. Jak dowiedzieliśmy się jednak od pełnomocnika rządu dla spraw repatriacji, tow. wiceministra Wolskiego, coraz to inne trudności stają na przeszkodzie i uniemożliwiają powrót Polaków z Westfalii i Nadrenii. W istocie rzeczy chodzi o to, że są to górnicy, potrzebni Niemcom i Anglikom do odbudowy Ruhry.

Nie ma jednak żadnego usprawiedliwienia politycznego, prawnego czy gospodarczego dla dalszego pozostawiania Polaków w Westfalii. Ich miejsce jest w kraju, a powrót powinien nastąpić jak najprędzej.

Niemcy 1947 r.

Szukają króla...

Prasa berlińska podała ostatnio wiadomość, że pod przewodnictwem niejakiego dr Schreibera udała się do Londynu delegacja partii „chrześcijańsko-społecznej" (Christlich-Soziale Partei), aby w angielskich kołach rządowych i dworskich wysondować możliwość obwołania lorda Mountbatten królem jednego z krajów południowoniemieckich. Sensację tę potwierdził organ brytyjskiej Partii Pracy „The People", który podkreślił zarazem, że niezwykły projekt niemiecki spotkał się w Londynie ze zdecydowanie „zimnym przyjęciem".

Stinnes znowu na widowni

Hugo Stinnes, junior, znany przemysłowiec niemiecki, wypłynął znowu na widownię w Niemczech zachodnich. Stinnes, który piastował ważne i odpowiedzialne stanowisko w Radzie Nadzorczej zachodnioniemieckich karteli ciężkiego przemysłu, posprzeczał się w r. 1933 z Hitlerem i wyemigrował do Anglii i Stanów Zjednoczonych, sprzedawszy poprzednio część swoich fabryk kapitalistom amerykańskim. Po kapitulacji reżimu hitlerowskiego wrócił do Niemiec zachodnich, gdzie brytyjskie władze okupacyjne zamknęły go w obozie dla internowanych. Obecnie Stinnes został wypuszczony na wolność, aby wziąć udział w odbudowie ciężkiego przemysłu na obszarze okupacji anglosaskiej.

Duch swastyki jest wszechwładny

Znany dziennikarz i publicysta francuski Georges Soria w wydanej świeżo książce „Czy Niemcy przegrały wojnę?" zamieszcza taki charakterystyczny obrazek nastrojów panujących na obszarze okupacji anglosaskiej:

„Gdy znajdowałem się pewnego dnia przejazdem w mieście Wupperthal w Westfalii, przyszła mi do głowy myśl, by udać się do miejscowych władz i zobaczyć, jak wygląda tu denazyfikacja. Burmistrz Wupperthalu, którego naszedłem niespodziewanie w jego biurze, zaczynał właśnie odpowiadać na pytania, gdy w tym gwałtownie otworzyły się drzwi i weszła zadyszana i płacząca kobieta, która mogła mieć około 40 lat.

— Panie burmistrzu — rozpoczęła kobieta wzburzonym głosem — otrzymałam dziś rano wezwanie z policji. Na kopercie było napisane „pilne". Otworzyłam ten list. Z początku nie rozumiałam nic, ponieważ napisany on był na papierze ze swastyką w nagłówku. Myślałam, że jest to jakiś stary list, który przyszedł do mnie po wielu latach. Ale nie — podpisany był przez obecnego szefa policji. Przeczytałam go raz, przeczytałam go drugi, potem nie zastanawiając się więcej, postanowiłam iść dowiedzieć się czego ode mnie chcą.

Poszłam tam, panie burmistrzu i wie pan co mi powiedziano: „Musi się pani przygotować na odbycie kary więzienia. Została pani skazana w 1943 roku na pięć lat więzienia za słuchanie radia angielskiego. Nie odbyła pani kary, ponieważ była pani wtedy w ciąży. Dziecko umarło, tak że powód dla jakiego została pani ułaskawiona już nie istnieje... Dajemy pani dwa dni czasu na przygotowanie się i ponowne zjawienie się u nas."

— Niech mi pan powie, panie burmistrzu, co ja mam robić? Nic posadzą mnie chyba do więzienia za to, że w 1943 roku słuchałam radia angielskiego. Czy Anglicy pozwolą na to?

Opowiadanie, przerywane łkaniem skończyło się, zapytaniem: „Czy Anglicy pozwolą na to?"

Walka polityczna w strefach zachodnich

W Frankfurcie nad Menem odbyło się posiedzenie nowej bizonalnej Rady Gospodarczej dla połączonych stref anglosaskich. (Bizonaler Wirtschaftsrat), na którym powołano dyrektorów poszczególnych gałęzi życia gospodarczego. Na stanowiska te zostali wybrani wyłącznie członkowie CDU, CSU (chrześcijańskiej demokracji), a więc tych kół, które grupują u siebie elementy skrajnie reakcyjne i faszystowskie. Wydarzenie to wywołało ogromne wzburzenie w łonie partii Schumachera, (SPD), która do tej pory cieszyła się największymi względami u władz okupacyjnych, szczególnie brytyjskich. Nagły zwrot w kierunku popierania elementów nacjonalistycznych, przeciwnych jakiejkolwiek socjalizacji życia gospodarczego, przypisuje się polityce Amerykanów, którzy zgodnie z nowymi dyrektywami nie chcą dopuścić do rozbicia karteli i trustów kapitalistycznych w Niemczech zachodnich. Socjaldemokracja zapowiada w związku z tym bezwzględną walkę z „burżuazją" i wznowienie walki klasowej, skierowanej przede wszystkim przeciw chrześcijańskiej demokracji i partii liberalnej (CDU i LDP). Przewodniczący socjaldemokracji w Wielkiej Hesji, Willi Knothe, oświadczył, że „przymusowe małżeństwo z burżuazją" należy natychmiast rozwiązać, ostatnie wypadki dowiodły bowiem niezbicie, że klasa posiadająca wzmocniła się ogromnie. Nowomianowanych dyrektorów Rady Gospodarczej nazwał Knothe „SS-manami frontu harzburskiego", przypominając sojusz, jaki z Hitlerem zawarły koła mieszczańskie i konserwatywne w swoim czasie w Harzburgu. Reperkusje z powodu objęcia wszystkich stanowisk w Radzie Gospodarczej przez chrześcijańskich demokratów ujawniły się już także w Bawarii, gdzie imieniem socjaldemokracji poseł do Landtagu Martin Albert zaatakował gwałtownie stanowisko rządu w sprawie reformy rolnej, wyrównania obciążeń socjalnych i w kwestii uchodźców. Albert zarzucił jednocześnie partii CSU, że nie chce ona bynajmniej przyczynić się wespół z SPD do złagodzenia nędzy i dlatego żądać musi rozwiązania obecnego parlamentu i rozpisania nowych wyborów.

Jeden z czołowych leaderów SPD w Hamburgu dr Hugo Buschmann zwrócił się w ostrych słowach przeciw kontynuowaniu dalszej współpracy z CSU „Jest rzeczą oczywistą — mówił Buschmann, — że socjaldemokracja wystąpi obecnie przeciw tym siłom, które sądzą, że z gruzów drugiej wojny światowej można przywrócić bez dalekoidących przemian społeczno-politycznych — dawne Niemcy."

Prezydent senatu w Bremie Wilhelm Kaisen stwierdził, że decyzja w Frankfurcie doprowadzi niewątpliwie do tego, że obydwie największe partie w strefie zachodniej będą odtąd budowały nie na tym, co ich łączy, lecz co ich dzieli. Przyszłość okaże, czy i o ile będzie to miało wpływ destrukcyjny na Niemcy.

Walka jaka rozegrała się w Frankfurcie pozornie na bazie gospodarczej, była w istocie rzeczy pierwszym bojem wybitnie politycznym tych rozmiarów i tego znaczenia w zachodnich Niemczech. Reżyseria spoczywała z jednej strony w rękach dr Adenauera i dr Müllera po prawicy i w ręku Schumachera po lewicy.

W oświadczeniu złożonym przedstawicielom prasy po burzliwych obradach Rady Gospodarczej Schumacher powiedział, „że socjaldemokracja nie chciała zrezygnować z urzędu administracji w łonie Rady Gospodarczej, ponieważ była to jedyna dwustrefowa pozycja SPD. W Niemczech chce się utworzyć „park narodowy" przestarzałego kapitalizmu — mówił rozgoryczony przywódca SPD — podczas gdy cała Europa kroczy na drodze do socjalizmu. Chrześcijańską demokrację uważać będziemy odtąd jako partię przedsiębiorców i kapitalistów." Walka, jaka rozgorzała w zachodnich Niemczech między dotychczasowymi przyjaciółmi politycznymi, będzie miała niewątpliwie duży wpływ na dalsze kształtowanie się przyszłego oblicza Niemiec. W tej chwili żywioły reakcyjne — wskutek zgoła fałszywej taktyki socjaldemokracji pod wodzą Schumachera, która drogą hurranacjonalizmu usiłowała skaptować sobie wyborców — okazały się znacznie silniejsze i postanowiły zaryzykować prowadzenie własnej polityki, pewni poparcia... Amerykanów. Takie jest bez wątpienia tło obecnej rozgrywki. Dr Adenauer, przywódca CDU w strefie brytyjskiej, zapytany na temat odbudowy gospodarczej połączonej strefy anglo-amerykańskiej, z naciskiem zaznaczył, że „bizonalna Niemiecka Rada Gospodarcza, która bezsprzecznie jest dzisiaj najwybitniejszą władzą niemiecką, będzie dążyła do zdrowego rozwoju gospodarczego w zachodnich Niemczech, za który partia chrześcijańsko-demokratyczna obejmuje całkowitą odpowiedzialność." Następujący członkowie partii CDU wybrani zostali na dyrektorów poszczególnych zarządów głównych: dr Johann Semmler — gospodarka, dr Schlange — Schoeningen, b. komisarz Osthilfe — wyżywienie, dr Otto Schniewind — finanse, dr Eugen Fischer — komunikacja i Hans Schubert — poczta i telekomunikacja.

Rada Gospodarcza zachodnich Niemiec jest oczywiście ostro zwalczana w sowieckiej strefie okupacyjnej jako emanacja sił reakcyjno-kapitalistycznych.

Niemcy mieli prowadzić wojnę co 15 lat

Przy badaniu najtajniejszych akt Marcina Bormanna, znaleziono — jak podaje hamburski dziennik „Die Welt" — dowody na to, że Hitler uważał za wskazane, by naród niemiecki co 15 czy 20 lat prowadził wojnę. W czasie przygotowań do procesu przeciwko ministerstwu spraw zagranicznych Ribbentropa znalazł dr M. W. Kempner nieznany dotychczas dokument. Jest to coś w rodzaju memorandum, spisanego na temat rozmowy, jaka się odbyła między „Fuehrerem" a kierownikiem kancelarii Bormannem. Memorandum to posłał Bormann wszystkim wyższym urzędnikom rozmaitych ministerstw do przeglądu. Nosi ono datę 19 sierpnia 1941 — osiem tygodni po inwazji armii niemieckiej na Rosję.

„Jeśli dobrze życzymy narodowi niemieckiemu, to to, by on co 15 wzgl. 20 lat prowadził nową wojnę. Armia, która służy tylko do utrzymania pokoju, bawi się w żołnierzy. Jako przykład zobaczmy sobie Szwecję i Szwajcarię". Taka armia zdaniem Hitlera stanowi niebezpieczeństwo rewolucji.

Straty wojenne usprawiedliwiał Hitler w sposób następujący: „Jeśli się mi zarzuca, że w moich wojnach dwieścietrzydzieści tysięcy ludzi straciło życie, to odpowiem na to, że naród niemiecki dotychczas zdobył przeze mnie więcej, niż dwa i pół miliona ludzi. Jeśli więc wymagam 10% na ofiarę, to dałem za to 90%. Mam nadzieję, że za 10 lat będziemy mieli na świecie przynajmniej o 10 lub 15 milionów Niemców więcej. Stworzę dla nich warunki do życia."

Hitler zwrócił się przeciw ograniczaniu urodzin, twierdząc że wielu wielkich mężów było szóstym, albo siódmym dzieckiem, i „że nie wolno nam powtórzyć błędów i zadowalać się tylko jednym dzieckiem."

EGON NAGANOWSKI

Katolicyzm i protestantyzm niemiecki dziś

4

„Nikt z nas Niemców nie może się — w zasadzie — uwolnić od odpowiedzialności. Ale z drugiej strony byłoby niezgodne z historyczną prawdą i przyświadczeniem kłamstwu, gdybyśmy się pozwolili — w sensie biblijnym — posłać na pustynię jako kozioł ofiarny całego świata". (!) „W obliczu rządu (hitlerowskiego — przyp. mój) gotowego do stosowania wszelkich metod przemocy, nie można bez wzystkiego uważać za moralny obowiązek obywateli, by najlepsi z nich oddali się sami pod nóż i nie wolno im poczytywać za winę, skoro tego nie uczynili. Ściśle biorąc mogliśmy wszyscy, zawsze i wszędzie zdziałać więcej, niżeśmy zdziałali. (?): to, czegośmy nie zrobili jest naszą winą — przed Bogiem (!). Jeżeli zaś chodzi o osąd ludzki o zachowaniu się naszego narodu w czasach nazizmu, to musimy wymagać (!) by skomplikowana wielopostaciowość i powikłanie okoliczności doznały sprawiedliwej oceny. Znacznej części narodu niemieckiego można z pewnością zarzucić bezkrytyczną łatwowierność — by zachować sobie źródło entuzjazmu i kultu bohaterów Niemiec, jest rzeczywiście skłonny nie widzieć wielu rzeczy, które by go mogły rozczarować. (!) W tym wypadku jest tchórzliwy. Ale z drugiej strony trzeba mu zapisać na dobro jego szczerą i ofiarną wiarę w narodowy socjalizm(!!) dzięki której zyskał (po pierwszej wojnie światowej — przyp. mój) możność ponownego wydźwignięcia się w górę. Trudno też nie uznać pozbawionego egoizmu społecznego poświęcenia się obowiązkom milionów ludzi... Czy wolno było wymigiwać się od wojska, skoro chodziło bądź co bądź... o być albo nie być ojczyzny?". (G. Baeumer w artykule pt. „Do problematyki zagadnienia winy").

„Musimy się pogodzić z przerażającą myślą, że „wódz" Niemiec (i niewątpliwie niektóre osoby z jego bezpośredniego otoczenia) czerpali powodzenie, niezwykły wpływ na ludzi, nieludzkość, brak sumienia i bestialskość ze związku z nieczystymi siłami. Te źródła wytłumaczyłyby wszystko (!), przede wszystkim pozwoliłyby zrozumieć, dlaczego nikt nie miał dość siły, by przeciwstawić się wodzowi i uwodzicielowi... Szatan może opętanemu użyczyć takiej mocy, że w porównaniu z nią wszelkie ziemskie możliwości od samego początku są niczym. (W innym miejscu: „Diabła nie może zwyciężyć człowiek, a jedynie Bóg") ...Bóg chętniej wyciąga swą przebaczającą dłoń do jednego grzesznika czyniącego pokutę, niż do 99 sprawiedliwych". (F. Kirnberger: „Polityczna czy religijna wina?").

„Jest widocznie losem Niemiec przeżywać najgłębsze problemy, w których odźwierciadlają się wzloty i upadki ludzkości. (!) Tak jak ludowi Izraela w Starym Testamencie, tak i Germanom po Narodzeniu Chrystusa przypadło w udziale wielkie zadanie... Totalne załamanie się daje nam możność zrobienia takiego nowego początku, że stanie się on przykładem dla świata. (!) ...Spełnienie tego zadania jest posłannictwem narodu niemieckiego...". (E. Schmittmann: „Felix Culpa?").

„Gdy się podkreślą, że byli przeciwnicy dopuścili się względem nas niesprawiedliwości, to jest to bezsprzecznie twierdzenie słuszne (!)". Ale „fakt, że inne narody także są winne i stale swą winę pomnażają (!), nie odciąża nas przed Bogiem i nie usprawiedliwia naszej głuchoty... Inne narody niewątpliwie dzielą z nami winę całego zachodu, lecz przewinienie nasze jako narodu poetów i myślicieli jest głębsze! Z poczucia narodowej dumy (!) odrzucamy tanie usprawiedliwianie się współwiną drugich. Przyznanie się do większej winy płynie z świadomości posiadania większego narodowego zadania. (!) Należy nas jako naród mierzyć miarą Boga (!!) i Jego zleceń, a nie miarą innych ludów". (Dr H. E. Hengstenberg: „Złem największym jest wina nieopłakana").

W taki i tym podobny sposób wypowiadają się wszyscy autorzy z „Neues Abendland", nie wyłączając ks. dra Klinkhammera, który mimo zacytowanych przeze mnie krytycznych uwag o zachowaniu się katolików świeckich i duchownych w czasach hitleryzmu przeczy winie narodu niemieckiego i wylewa łzy nad nieszczęściami biednego „śmiertelnie rannego" narodu, na który wszyscy „bezlitośnie" rzucają ciężkie obwinienia.

Zacytowane wywody jednego z najpoważniejszych — jak podkreślam raz jeszcze — periodyków katolickich, składają się razem na smutny i symptomatyczny dokument. Z nadzwyczajną szczerością uchylono tutaj przyłbicy i ukazano właściwe oblicze. Katolicyzm służy tym, „chrześcijanom", mającym pretensje do reprezentowania zachodu, nawet nowego zachodu, (sam tytuł pisma brzmi „Neues Abendland" tzn. Nowy Zachód) do mało chrześcijańskich praktyk, w których nie wiadomo co bardziej „podziwiać" — czy chęć oddalenia od siebie winy i przerzucenia jej na „resztę świata", szatana, względnie... Boga („który dopuścił"), czy też butny quasi mesjanizm ciągnący z winy nowy tytuł do wielkości i niezwykłości niemieckiego narodu, którego nikt prócz Boga nie ma prawa sądzić. W najlepszym wypadku wyraża się „zgodę" na winę rozłożoną na Niemców i inne narody. Konsekwencją tego nie może więc być jednostronna pokuta, a tylko wzajemne przebaczenie i pojednanie. (Versoehnung). Łatwo sobie wyobrazić reedukację bazującą na takich przesłankach...

(c. d. n.)

Udział Śląska w polskim życiu kulturalnym

Polacy z nad Nisy profesorami Uniwersytetu Krakowskiego

W średniowieczu Dolny Śląsk z Wrocławiem na czele odgrywał wybitną rolę w rozwoju kultury umysłowej. Zawdzięczał to w dużym stopniu swemu położeniu geograficznemu, gdyż leżąc na skrzyżowaniu dróg, wiodących do Polski z południa i zachodu, miał najbliższy kontakt z krajami o kulturze łacińskiej.

ROZKWIT PIŚMIENNICTWA I TWÓRCZOŚCI NAUKOWEJ

Polski rozwój kulturalny Śląska dzieli się na kilka okresów. Najbardziej dynamiczny w sensie oddziaływania na całą Polskę był okres pierwszy, średniowieczny, gdy Śląsk przodował umysłowo. W XII i XIII stuleciu rozkwitu na Śląsku piśmiennictwo i twórczość naukowa. W tym czasie wyrasta szereg wybitnych indywidualności. Do najbardziej znanych należy Piotr Włost, założyciel i budowniczy kilkudziesięciu kościołów, twórca budownictwa monumentalnego. Jemu zawdzięczać należy słynne cpactwo wrocławskie, które stało się placówką kultury łacińskiej w Polsce.

Jakkolwiek pierwsze przejawy piśmiennictwa pojawiły się na Śląsku już pod koniec XII wieku, dopiero wiek XIII przynosi dzieła takich Ślązaków, jak Witello i Franco z Polski, którzy wprowadzają Polskę do naukowej literatury europejskiej. Benedykt z Polski, zakonnik konwentu franciszkańskiego we Wrocławiu, bierze udział w wyprawie do Mongolii i spisuje wrażenia z podróży. W wieku XIV ukazują się prace lekarskie Jana z Grotkowa, Physikusa, archidiakona głogowskiego oraz Norbertanina Tomasza, który obok pracy kościelnej zajmował się praktyką lekarską, sprawując funkcję lekarza przybocznego książąt śląskich.

Również w zakresie historiografii polskiej udział Śląska był znaczny, zwłaszcza po śmierci kronikarza Kadłubka. W powstających wtedy kronikach, pisanych przeważnie przez autorów anonimowych, jest charakterystyczne wyraźne podkreślanie łączności Śląska z Polską.

WPŁYW UNIWERSYTETU KRAKOWSKIEGO.

W następnych wiekach duży wpływ na Śląsk wywierał Uniwersytet Krakowski, który przyciągał ze Śląska studentów. Elita kulturalna Śląska utrzymywała bliskie stosunki z dynastią Jagiellońską. Z klasztoru kanoników regularnych pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny w Kłodzku wyszedł słynny „Psałterz Floriański", należący do najważniejszych, najstarszych zabytków polskiego piśmiennictwa. W ciągu XV i XVI stulecia przeszło przez Uniwersytet Krakowski około 4 tysięcy Ślązaków, co stanowiło przeszło 10 procent wszystkich studentów.

Na katedrach profesorskich odnowionego Uniwersytetu Krakowskiego zasiadali znakomici Ślązacy: Franciszek Krzyszowic z Brzegu, Jan z Kluczborka i Erazm z Nisy. Krzyszowic był nawet dwukrotnie rektorem. Ślązacy upamiętniają się w dziejach tej uczelni fundacjami i zapisami za przykładem Mikołaja z Gliwic, który ofiarował legat na stworzenie domu studentów śląskich w Krakowie.

W XV wieku odegrał dużą rolę w Uniwersytecie Jan rodem ze Lgoty pod Oleśnicą, zwany Elgotem; Piotr Gaszowiec i Jan Staszko rodem z Wrocławia, dziekan kapituły głogowskiej.

Śląscy uczeni biorą poważny udział w rozwoju nauk filozoficznych. Jan z Głogowa, który pierwszy podał w Polsce wiadomość o odkryciu Ameryki, poświęcił większą część swego życia na pisanie podręczników. Długie lata był profesorem Michał z Wrocławia.

PRODUKCJA KSIĄŻKI POLSKIEJ

Wszyscy ci uczeni śląscy byli zamiłowanymi zbieraczami książek. Na Śląsku kwitła również na przełomie wieków średnich i czasów nowożytnych produkcja książki polskiej, w której zasłużył się szczególnie Hieronim Wietor, rodem z Lubomyśla pod Jelenią Górą. Wietor wprowadził do polskich druków kursywę aldowską oraz średniowieczną antykwę włoską, która stała się antykwą polską. Z tegoż Lubomyśla wywodzili się zasłużeni dla rozwoju polskiej książki Szarffenbergowie oraz Zybenaicherowie.

Epokę humanizmu charakteryzuje wyjątkowa ruchliwość kulturalna Śląska w bliskiej łączności z Uniwersytetem Krakowskim. Niestety już w połowie XVI stulecia następuje osłabienie tych kontaktów, a rozpoczyna się okres germanizacji Śląska, trwający aż do połowy XIX wieku. Bierność Polski była jedną z przyczyn zwyciężenia niemczyzny na Śląsku. Zanika tem warstwa polskiej inteligencji, a ośrodkiem życia narodowego staje się dla chłopów i drobnomieszczaństwa kościół. Wybitni Ślązacy — jak Wacław Grodecki, Maciej Strubicz, Walenty Fontana, Pastorius z Głogowa czy Walenty Roździeński biorą jednak udział w twórczości kulturalnej Polski XVII stulecia, lecz już nie na terenie Śląska. Pastorius był sekretarzem i historiografem królewskim.

W początkach XIX wieku powstaje na Śląsku ruch, mający na celu odrodzenie kultury pod przewodnictwem Lompy, Lisa, Ligonia. W ostatnich dziesiątkach lat Śląsk dał nauce polskiej wielu pracowników, którzy godnie podjęli tradycję śląskich uczonych średniowiecza.

Migawki historyczne z Bytomia

Bytom jest starym osiedlem miejskim. Przed wiekami otaczały go olbrzymie bory, ciągnące się od Strzelec aż po Mysłowice. W bytomskim Archiwum Miejskim uchowały się do dziś dnia całe stosy starych dyplomów, świadectw chlubnie zdanych egzaminów, umów, spisanych przez ojców terminatorów z mistrzami, które dowodzą, że miasto już w pierwszych wiekach swego istnienia było ośrodkiem rzemiosła. Istniały tu liczne cechy, promieniujące swą działalnością niemal na cały Śląsk.

DOWODY POLSKOŚCI

Znajdujące się w zbiorach archiwalnych dokumenty, dostarczają niezbitych dowodów polskości Bytomia i ziemi śląskiej. Rada miejska, sąd i inne urzędy posługiwały się wyłącznie polskim językiem. Nie tylko rozprawy sądowe i obrady w radzie prowadzone były po polsku, ale wymagano także wnoszenia podań w tym języku, nie mówiąc już o polskiej korespondencji prywatnej urzędników i mieszkańców miasta. Rzadko tylko spotykamy jakiś dokument w języku czeskim, a jeszcze rzadsze są dokumenty niemieckie.

KLĘSKI I ROZBOJE

Zachowany z r. 1475 dokument mówi, że katastrofalny pożar zniszczył całe miasteczko, ocalał wtedy tylko jeden kościół. Poza częstymi żywiołowymi klęskami trapiły miasto i okolicę różne epidemie, czego dowodem są liczne zarządzenia sanitarne.

Swawola szlachty objawiała się nie tylko w zwykłych bójkach sąsiedzkich. Teren bytomski nawiedzany był dość często przez bandy, organizowane i utrzymywane przez szlachtę. Oczywiście działały także szajki „niższej kondycji" zawodowych podpalaczy i zbójów.

W XVIII wieku postrachem okolicy była słynna banda braci Jarockich, kierująca swe wyprawy również na Bytom. Nawet jeszcze w latach 1808—1816 działały tu silnie zgrupowane szajki złoczyńców, o czym mówią odnośne dokumenty.

Jeszcze z innej strony ludność narażona była na krzywdy i gwałty. Częste przemarsze wojsk, rekwizycje, stałe zakwaterowania i swawola żołnierska dopiekały mieszkańcom. Dowództwa różnojęzycznych oddziałów wojskowych wyciskały z miasta i okolicy, co się tylko dało, a żołnierz ponadto na własną rękę psocił i rabował. Dopiero w roku 1809 wyszło zarządzenie, mające położyć kres samowolnym rekwizycjom wojskowym.

CIĘŻARY WOJENNE

Ciekawych szczegółów dowiadujemy się z dokumentu, mówiącego o krzywdzącym miasto Bytom rozłożeniu podatku wojennego w roku 1807. Liczba mieszkańców Bytomia została wówczas ustalona na 1828 głów, którym wymierzono podatek wojenny w łącznej kwocie 2186 talarów. Miasto Pszczynę natomiast, gdzie dorachowano się 2334 mieszkańców, opodatkowano tylko 2334 talarami.

Opierając się na powyższej statystyce, jako też na fakcie, że kościółek św. Ducha przy dzisiejszej ul. Krakowskiej, znajdował się wówczas poza murami miasta, dochodzimy do wniosku, iż Bytom aż do początku XIX wieku był niewielką mieściną.

Jan Łangowski

JAN BARANOWICZ

GÓRA ŚWIĘTEJ ANNY

Świty czeszą się jak włosy
I wschodzi słońce dziewanną
Na łuku ziemi pobożnej,
na górze twej święta Anno.
I błądzą cienie po stokach
i gadki jak wiejskie skrzynie.
Świergocą małe skowronki
śpiewankę o Gogolinie.
Kościół modli się nawami.
Ze ścian słowiańszczeje słowo.
Kaplice niby pielgrzymi
wodzą się drogą krzyżową.
Wieczorami historia
w kamiennym amfiteatrze
skanduje siwe rapsody,
płomienną ojczystość świadczy.
A wiatr jak Chrystus frasobny
z przydrożnej dźwignął się męki
i zbiera prochy powstańcze
Jak najcudniejsze piosenki.
Owija w świetliste palce,
pył siewny ostów i mleczu
i na mogiłach rozsiewa,
których lęk wroga zaprzeczył.
Zielona różdżko weselna! —
Muzyka Bończyka gęśli! —
Otośmy znów szlak związali,
co nas do ciebie przekreślił.
Zachód nam z ran się czerwienił
i śmierć służyła za darmo,
gdybyśmy się pięli ku Tobie
przez bloki bunkrów i armat.
Świty na niebie się chwieją —
sztandary w drzewcu twej wieży.
Obudził wolność pod glebą
twardy marsz polskich żołnierzy.
Na szczycie twym jak posągi
stygniem — Kalwario opolska! —
Gdzie oczy w przestrzeń wymierzą
— biało-czerwieni się Polska! —

POLSKI ZWIĄZEK ZACHODNI
wykonawcą i stróżem
zachodniego programu
polityki polskiej

T. KRASZEWSKI

Wielkie dni pana Nowaka

Z serii „Pionierzy to..."

Pan Nowak nigdy nie był mężem z wielkim charakterem. W zarządzie miejskim Syrołapek, w którym przed II. wojną światową piastował odpowiedzialne stanowisko kasjera, miał zawsze opinię fajtłapy, mimo pozorów powagi i stanowczości, jakie sobie nadawał. A w ognisku rodzinnym jego autorytet był kompletnie gaszony i poniewierany przez czcigodną małżeńską połowicę, panią Agnieszkę Nowakową, de domo Cacankiewiczównę. Małżonka panowała nad panem Hieronimem bezapelacyjnie i autorytatywnie, przerastała go fizycznie, psychicznie i moralnie.

Pan Nowak był mężczyzną o słabowitej kompleksji. Niski, szczupły, o zapadniętej klatce piersiowej, zgarbionych plecach, prawym ramieniu wyższym od lewego, za to prawej nodze krótszej od lewej, krótkowidz — przedstawiał charakterystyczny typ mola biurowego, pół życia pochylonego nad kasowymi księgami, bojącego się słońca i kataru, zimnej wody i przeciągów, heksenszusu i zgubienia okularów. A że cierpiał przy tym na wątrobę, więc łatwiej zdobyć mu się było na opryskliwość i nieuprzejmość, niż na stanowczość i cywilną odwagę.

Pani Agnieszka i zewnętrznie i duchowo stanowiła przeciwieństwo małżonka. Kobieta — co się mówi — postawna, frontowa, z młodych lat zgoła urodziwa, okaz kwitnącego zdrowia miała w charakterze wiele cech pospolicie męskimi zwanych: była energiczna, przedsiębiorcza, stanowcza, nieustępliwa. Twardą ręką trzymała ster nawy rodzinnej, rządziła despotycznie mężem, dziećmi, służącą.

Nowoprzybyli mieszkańcy Syrołapek dziwili się, patrząc na to małżeństwo, w jaki sposób zostało ono skojarzone. Mieszkańcy zasiedzieli opowiadali im wtedy pod dyskrecją historię tego niedobranego stadła.

Illo tempore panna Agnieszka Cacankiewiczówna uchodziła za jedną z najlepszych, a bodaj czy nie najlepszą partię w Syrołapkach. Papa Cacankiewicz był właścicielem poważnego przedsiębiorstwa rzeźnickiego, prowadził handel bydłem, miał jatkę mięsną, wędliniarnię i masarnię, poza tym kamienicę w rynku, gospodarstwo pod miastem, jednego syna i córkę jedynaczkę, to jest właśnie pannę Agnieszkę.

Panna Agnieszka miała licznych konkurentów, ale żaden jakoś nie przypadał jej do serca. Trafił się wreszcie taki, który przypadł. Syn równie poważnego obywatela syrołapskiego, właściciela parowego młyna. Chłopak przystojny i rozgarnięty, Skończył gimnazjum w powiatowym mieście i studiował prawo w Warszawie.

Poznali ich ze sobą rodzice nie bez intencji skojarzenia z nich pary małżeńskiej, gdy młody człowiek przyjechał do Syrołapek na wakacje.

Co by to była za para: rzeźnictwo i młyn!

Panna Agnieszka straciła dla chłopca głowę i serce.

I wszystko było na najlepszej drodze. Nagle ni stąd, ni z owąd — krach! Nawet najdomyślniejsi plotkarze nie mogli dojść istotnej przyczyny. Młody człowiek wyjechał i mimo nalegań, perswazyj, a nawet represyj finansowych rodziców, nie chciał wrócić i finalizować małżeńskiej imprezy.

Panna ze wszystkimi szykanami została na koszu. Syrołapki miały skandal i ucztę dla plotkarzy. Konkurenci, jak na komendę, zniknęli z widowni.

A wkrótce za pierwszą — druga sensacja. Panna Agnieszka, najposażniejsza jedynaczka w Syrołapkach, wychodzi zamąż za najskromniejszego, po prostu niewidocznego urzędniczka magistrackiego, pana Hieronima Nowaka. No, i odbył się ślub i wesele. Trwało to aż trzy dni. Hulały całe Syrołapki. Specjalnie na ten cel wynajęto remizę straży ogniowej, a właściciel miejscowego składu win i wódek osobiście jeździł do powiatowego miasta po transport spirytualij.

Małżeństwo wedle wszystkich pozorów było bardzo szczęśliwe. Pani Agnieszka, jakby na złość plotkarzom, afiszowała się ostentacyjnie tym szczęściem. Pokazywała się często czule przytulona do małżeńskiego ramienia, idąc na spacer do parku, do podmiejskiego lasku lub w aleję Zakochanych. W krótkim (może nawet za krótkim czasie) państwu Nowakom przybył syn. W tym samym czasie pan Nowak (może przy protekcji teścia) awansował na magistrackiego kasjera.

Potem... lata toczyły się równo i spokojnie. Syrołapska „opinia społeczna" coraz mniej interesowała się małżeńskim ogniskiem państwa Nowaków. Skandale i sensacje poszły w zapomnienie. Pani Agnieszka przestała przecież być panną Cacankiewiczówną, a była tylko skromną panią kasjerową. Nikogo nie interesowało już, że pierworodny syn państwa Nowaków, ukończywszy szkołę powszechną w Syrołapkach, został wysłany przez dziadka do powiatowego gimnazjum. Że po ośmiu coś latach przybył państwu Nowakom drugi syn, a następnie jeszcze jeden syn i córka. Że ten drugi syn był mniej od starszego brata urodziwy, ale za to o wiele bardziej urwisowaty, a młodsze dzieci nie wyróżniały się ani urodą, ani roztropnością, miały natomiast głupkowate miny, zastraszone oczy i usmarkane nosy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z wędrówek po ziemi Mazurskiej

Mazurzy tęsknili do Polski

Wyjeżdżamy z miasta. Jest ciepły sierpniowy poranek. Ścięte zboża już dość dawno sprzątnięto z pól i gdzieniegdzie widać postać oracza.

LUDZIE NA WYSPIE

Na jeziorze Tomaszowskim znajduje się mała wysepka, na której zamieszkują dwie rodziny Polaków zasiedziałych.

Pobliska wieś Tomaszkowo zamieszkała jest prawie wyłącznie przez Warmiaków. Nie brak wśród nich Polaków — patriotów, którzy w okresie panowania Niemców krzewili ducha narodowego. Ich to zasługą jest fakt, że prawie wszyscy mieszkańcy wioski władają językiem polskim. Rany zadane przez wojnę ulegają stopniowemu zaleczeniu.

W OLSZTYNKU

Wjeżdżamy na rynek miasta, które na pierwszy rzut oka przedstawia jedną ruinę. W ocalałych domach i dzielnicy willowej zamieszkuje około 3000 Polaków. Miasto posiada czynne wodociągi i energię elektryczną. Dumą mieszkańców miasta jest odbudowany nowoczesny gmach szkoły powszechnej, do której uczęszcza ponad 700 dzieci.

Proces odbudowy nadających się do remontu zabudowań hamuje brak odpowiednich kredytów. Inicjatywa prywatna nie wykazuje większej żywotności, a to z powodu nieuregulowania prawa własności.

Mieszkańców miasta i okolicy gnębi mauzoleum Hindenburga, które nie może doczekać się rozbiórki. Na historycznych polach Grunwaldu panuje pustka. Tylko wymurowany tu w r. 1945 kamień węgielny wskazuje, że istnieje projekt wzniesienia pomnika ku uczczeniu wiekopomnego zwycięstwa.

W pobliżu Olsztynka znajdowało się muzeum na wolnym powietrzu. Z ruchomych eksponatów nie pozostało śladu. Zachowały się jedynie wzory budownictwa wiejskiego w postaci chat mazurskich, litewskich i innych. Teren ten nie jest jeszcze zabezpieczony.

NIDZICA CZY NIBORK?

Obiektywnie należy przyznać, że Wydział Drogowy mimo wielu trudności nie ustaje w prowadzeniu napraw i odbudowy zniszczonych dróg komunikacyjnych na terenie woj. olsztyńskiego. Prawie na każdym odcinku wre praca przy naprawie nawierzchni.

Dojeżdżamy do Nidzicy. Nad miastem dominuje zamek z podziurawionym dachem i postrzępionymi murami. Miasto w 80% zniszczone. Ruch budowlany minimalny.

Mimo ostatecznego ustalenia nazwy miasta spotyka się jeszcze napisy „...w Niborku". Ślady niemczyzny zniknęły zupełnie.

W mieście zamieszkuje około 3500 Polaków. Władze narzekają na brak fachowców, którzy nawet by się znaleźli, lecz brak jest dla nich mieszkań.

Łącznie z miastem na terenie powiatu zamieszkuje około 18.000 osób, w tym 2400 zweryfikowanych Mazurów, z których część posiada własne gospodarstwa rolne, inni pracują na majątkach i w lasach państwowych. Liczba ta jest niewspółmiernie niska, gdy się zważy, że według urzędowej statystyki niemieckiej w r. 1910 na terenie powiatu zamieszkiwało 82% Mazurów, którzy przyznawali się do narodowości polskiej.

W JAGARZEWIE

Jagarzewo jest siedzibą gminy wiejskiej, której tereny graniczą z woj. warszawskim. W budynku gminnym mieści się spółdzielnia, której kierownikiem jest Polak, zamieszkały przed wojną w pobliżu granicy b. Prus Wschodnich. Zagadnięty na temat problemu autochtonów oświadcza natychmiast:

— Proszę pana, Mazurzy to Polacy! Przed wojną utrzymywaliśmy potajemnie bliski kontakt z tą ludnością. Żeby Pan wiedział, że większość z nich tęskniła do Polski. Niestety wypadki, które miały miejsce po zakończeniu działań wojennych wpłynęły ujemnie na proces przywrócenia tych ludzi Polsce.

— A jak się przedstawia sytuacja obecnie?

— Jest już znacznie lepiej, ale nie wiem, czy pokolenie, które zostało bezpośrednio dotknięte znanymi powszechnie wypadkami, da się przekonać, że to, co się stało, jest winą nieodpowiedzialnych osób. Należy usilnie pracować nad młodym pokoleniem i otoczyć należytą opieką starych i zahartowanych miejscowych działaczy.

Zgadzam się z moim rozmówcą w zupełności. Droga do Polski młodzieży miejscowego pochodzenia prowadzi po przez szkoły i Uniwersytety Ludowe. Na terenie woj. olsztyńskiego czynne są tylko dwa Uniwersytety Ludowe. Wspomnianą liczbę oraz liczbę szkół należy szybko zwiększyć oraz rozdzielić wśród młodzieży i dzieci szkolne większe ilości podręczników i pomocy naukowych. Młode pokolenie musi być wychowane w duchu polskim.

Antoni Kwiatkowski

Pełną piersią oddychają polską atmosferą

Koloniu letnia dzieci polskich z Westfalii i Nadrenii w Owińskach

Z ramienia Zarządu Głównego Polskiego Związku Zachodniego, który otacza opieką bawiące w Kraju dzieci polskie z Niemiec, wyjeżdżamy w pogodny, słoneczny dzień do Owińsk.

„Zakład dla ociemniałych", położony malowniczo w parku, gości 38 dziewcząt i 29 chłopców z Westfalii i Nadrenii — przybyłych na okres wakacyjny do Polski.

Z ciszy i spokoju panującego na terenie Zakładu wnioskujemy, że mali goście ulotnili się w okolicę. I już po krótkiej chwili dowiedzieliśmy się od dyrektora Zakładu ob. Wacława Wasilewskiego, że dzieci wyruszyły na wycieczkę do lasu, położonego w pobliżu i wrócą na obiad. Z pierwszych słów tego świetnego wychowawcy wnioskujemy, że dzieci są pod dobrą opieką i że cel kolonii zostanie osiągnięty w całej pełni.

Pod kierownictwem dyrektora zwiedzamy teren Zakładu — w większej części zburzonego przez okupanta.

Wszędzie panuje wzorowy porządek — w jadalni, sypialni, świetlicy i łazienkach. Dowiadujemy się, że na miejscu jest opieka lekarska.

A jaki jest program zajęć i jakie wrażenia odniosły dzieci podczas pobytu w Owińskach?

— Mam do dyspozycji 4 wychowawców, skierowanych przez Ministerstwo Kultury i Ministerstwo Oświaty — oświadcza dyrektor Wasilewski.

Program zajęć jest urozmaicony i ułożony w ten sposób, by dzieciom dać swobodę i wytchnienie i zarazem pogłębić wiadomości o Polsce.

Dzień rozpoczynają modlitwą i podniesieniem sztandaru, następnie śpiewają polskie piosenki ludowe, słuchają pogadanek i schodzą się na lekcje języka polskiego.

Z korespondencji wysyłanej do rodziców wynika, że dzieci czują się dobrze i chcą jak najdłużej pozostać w pięknej Polsce, którą znały dotąd z opowiadania.

Rozmowę naszą z dyr. Wasilewskim przerywa przybycie rozbawionej dziatwy z wycieczki leśnej.

Rozmawiamy z dziewczynkami i chłopcami. Skromnie i grzecznie odpowiadają, — a po kilku minutach opowiadają o wrażeniach przebytych na wycieczce. Jedna z śmielszych dziewczynek oświadczyła nam w imieniu wszystkich dzieci: „Nie wszyscy mówimy po polsku, ale staramy się nauczyć i pokochać naszą mowę polską".

Gwizdek wychowawcy — dyżurnego, wzywa dzieci na obiad. Ustawiają się i ruszają do jadalni. Gwar i radość przy stołach. Następuje cisza — wstają i według zwyczaju polskiego odmawiają wspólnie modlitwę, wyraźnie i z nabożeństwem. Nawet wyraz „szczodrobliwości" nie sprawia im trudności.

Na zaproszenie dyrektora siadamy do stołu. Jedząc obiad przekonaliśmy się, że potrawy są smaczne i dobrze przygotowane.

Opuszczając Zakład, żegnamy serdecznie naszych małych gości, życząc im jak najwięcej radości podczas pobytu na kolonii i rychłego powrotu do Kraju — na stałe.

J. B.

Ziemie Odzyskane

(Wiadomości podstawowe)

Ziemie Odzyskane były świadkami ciekawego zjawiska, które Niemcy określili jako Ostflucht **(ucieczka ze wschodu)** lub Landflucht **(ucieczka od ziemi).** Proces ten trwał długo i w konsekwencji wprowadzał chaos gospodarczy, szczególnie w rolnictwie. W ciągu niespełna wieku odpływ ludności niemieckiej przekroczył cyfrę 2,8 milionów osób (od roku 1852—1939) czyli 70% ogółu ludności rolniczej Ziem Odzyskanych. W połowie mniej więcej ubiegłego stulecia stosunek ludności wiejskiej do miejskiej przedstawiał się jak 3 : 1 (ściśle 77 : 23), a już przed wojną (1939) jak 1 : 1 (ściśle 52 : 48). Innymi słowy Ziemie Odzyskane pod panowaniem niemieckim gwałtownie się wyludniały.

Niedobór robotników rolnych wypełniały sezonowe siły najemne, rekrutujące się prawie wyłącznie z robotników polskich. Niemieckie zatem hasła o przestrzeni życiowej były nieuzasadnioną grą polityczną. W porównaniu choćby z gęstością zaludnienia terenów Rzeszy (przeciętnie 136,1 mieszk. na 1 km²) na Ziemie Odzyskane przypadało zaledwie 86,0 osób na 1 km² (w Polsce 92,0 na 1 km²). Zjawisko przeludnienia występowało jaskrawo w Polsce, Niemcy zaś były w wysokim stopniu niedoludnione, szczególnie na obszarze dzisiejszych Ziem Odzyskanych.

Wskutek tego tereny na wschód od Odry i Nisy Łużyckiej jako b. składowa część Rzeszy podupadały gospodarczo z roku na rok.

Początkowo rząd niemiecki czynił wysiłki, nie szczędząc kapitału inwestycyjnego, aby powstrzymać wyludnianie i cofanie gospodarcze wschodniej części Rzeszy — niestety bezskutecznie. Ziemie Odzyskane chłonęły bezproduktywnie niemieckie marki, inwestowane we wszystkie gałęzie życia gospodarczego, a wytwarzana ucieczką Niemców wpustka, zapełniała się coraz żywiej siłami roboczymi z przeludnionych terenów Polski zachodniej i południowej.

W końcu doszli Niemcy do przekonania, że produkcja na dzisiejszych Ziemiach Odzyskanych po prostu się nie opłaca i jest zbyteczna dla życia gospodarczego Rzeszy.

Jeszcze przed 1 wojną światową doszło do tak dalece absurdalnej sytuacji, że stolica Niemiec zaopatrywała się w węgiel angielski, mając tuż blisko kopalnie śląskie. Pociągnęło to za sobą spadek wydobycia węgla o całe 24%.

Nie trzeba uzasadniać, że zainteresowania gospodarcze Niemców zwrócone były przede wszystkim na rozwijający się przemysł zachodni i południowy. Tereny wschodnie zaś stawały się celowo nieuprawionym ugorem przemysłowym, który miał się ożywić dopiero po stworzeniu możliwości ekspansywnych na wschód, przez hegemonię polityczną i gospodarczą nad Polską, Rosją, Czechami, Węgrami i Jugosławią.

„Idziemy do Ciebie, matko nasza"

Grupa dzieci polskich z Niemiec, Lipska i Magdeburga, ulokowana została w zakładzie wychowawczym Robotniczego Tow. Przyjaciół Dziecka na Bielanach w Warszawie, inna zaś grupa w Śródborowie. W jednym z pism warszawskich zamieszczono stamtąd ciekawy reportaż.

— No powiedz, jak ci się podoba w Warszawie? — pyta swą koleżankę „mieszkanka" Śródborowa — bo dla mnie, to tu najładniej. Dzieci z Warszawy jednak twierdzą, że choć tu jest też ładnie, to jednak wolą Warszawę. Taki to już warszawski patriotyzm.

Dziwnego jednak doznajemy uczucia, słysząc wśród dzieci niemiecką mowę.

Oto stoi mały chłopiec, Rysio Sowa, otoczony grupką kolegów. W ręku trzyma list, który przed chwilą otrzymał od matki. W oczach chłopca rozszkliły się łzy.

— Was schreibt die Mutter? — pytają koledzy. — Warum weinst du?

Przykro jest słuchać. Ale niestety większość spośród dzieci nie zna prawie ojczystej mowy. Właśnie jednym z celów, dla których zostały przywiezione do Polski jest ten, aby poznały swą ojczyznę i swój język.

— W ośrodkach naszych — informuje nas kierownik Domu Dziecka z Bielan, ob. Steradzki — przeprowadzamy repolonizację tych dzieci. Przeszkolenie przeprowadziliśmy w ten sposób, aby było dla nich jak najbardziej przystępne. Organizujemy więc wieczorki, imprezy kulturalno-oświatowe, pogadanki oraz zwiedzanie Warszawy i jej zabytków. Większość rodziców tych dzieci zadeklarowała swój powrót do kraju. Przyjazd dzieci jest jakby przedwstępnym zapoznaniem się z Ojczyzną.

— Dziś dzieci same przyjmują gości — mówi nam kierowniczka Domu ob. Krukowa.

Rezolutna 12-letnia Zosia z jasnymi warkoczykami prowadzi nas do świetlicy.

— Tu jest tablica dyżurów, tu nasze zdjęcia podczas pracy, a tu gazetka ścienna — objaśnia. Zatrzymujemy się przed sporą tablicą, zaklejoną arkusikami papieru. Pośrodku trochę niezręcznie wykonana kolumna Zygmunta, a wokół niej napis: „Idziemy do ciebie, ziemio, matko nasza!". To wypisały dzieci z Berlina.

— A jak się porozumiewacie? — pytamy Zosi, która jest stałą mieszkanką tego domu.

— Już my się dogadamy — mówi, uśmiechając się. — Trochę pokazujemy sobie na migi, trochę objaśniamy obrazkami z książek. Umówiłyśmy się już z koleżankami, że będziemy pisywały do siebie listy, ale tylko po polsku.

Po południu odbył się dla dzieci koncert z udziałem znanych artystów P. R. Tak żywiołowych oklasków artyści chyba jeszcze w swym życiu nie otrzymali. Przed zakończeniem turnusu urządzona będzie jeszcze dla dzieci z Niemiec wycieczka do Krakowa, Zakopanego, Wieliczki i Oświęcimia.

E. WIŚNIEWSKI i S-ka
Dypl. Mistrz - Mechanik
Maszyny Biurowe i Warsztat Naprawy
Poznań, Marszałka Focha 20
(naprzeciw Dworca Zachodniego)
Tel. 65-88
Zakup i Sprzedaż
Maszyn biurowych
Własny warsztat naprawy
570

W Ustce ładuje się węgiel

Port w Ustce ma charakter handlowy i rybacki, przede wszystkim zaś handlowy. Port składa się z dwu części: avantportu i portu wewnętrznego.

Port właściwy znajduje się w korycie rzeki Słupii. Brzegi rzeki płynącej w kierunku północnym są umocnione przez kamienne nadbrzeża. Długość portu w głąb rzeki wynosi około 1400 m. Po obydwu stronach rzeki ułożone są tory kolejowe. Zachodnia strona portu posiada dwa baseny, wschodnia jeden. Basen po stronie wschodniej jest największy i przeznaczony jest dla rybaków. Przy basenie rybackim znajduje się stocznia rybacka, produkująca kutry i przeprowadzająca naprawy taboru rybackiego. Druga stocznia po zachodniej stronie rzeki posiada również wyciąg dla jednostek do szerokości 8 m, a długości 40 m.

Port posiada własny kapitanat i latarnię morską o zasięgu światła 15 mil morskich. W zakresie wyposażenia port posiada 3 elewatory zbożowe o pojemności 15 tysięcy ton, duże zbiorniki spirytusowe, nieuszkodzone magazyny, place bunkrowe dla węgla i ropy (z tych ostatnich mogą również korzystać jednostki rybackie) i chłodnię rybną.

Ponieważ wyposażenie portu w dźwigi jest niewystarczające, projektuje się zmontowanie tu nowych kranów, które by umożliwiły zwiększenia przeładunku węgla. Rozważa się również możliwości wykorzystania portu dla przyjmowania towarów importowanych, przede wszystkim ryb, koni i rudy żelaznej. Dla magazynowania ryb, przewiduje się budowę nowej chłodni, o powierzchni 400 m² i magazynu rybnego o powierzchni 300 m². Inwestycje te zwiększyły by znaczenie Ustki jako ośrodka przemysłu rybackiego.

Wejście do portu w Ustce należy do trudnych — przyczyną tego faktu są przybrzeżne prądy na Bałtyku oraz prąd rzeki Słupii. Projektuje się przeprowadzenie bagrowania i oczyszczenia dna portowego, co umożliwi ponowne przyjmowanie większych jednostek. Obecnie do portu wpływają przede wszystkim małe żaglowo-motorowe szkunery szwedzkie, które z zasady są znacznie poniżej 1000 ton. Dla tego rodzaju statków port w Ustce specjalnie się nadaje.

Bardzo charakterystycznym jest poziom wody w porcie: waha się on nawet do półtora metra. Zależy to od kierunku wiatrów i burz. Gdy wiatry idą od południa, tzn. od strony lądu, wówczas lustro wody opada 50 cm poniżej poziomu. W czasie zaś burz idących z północy do portu wdzierają się masy wody, które podwyższają toń do 100 cm powyżej normalnego poziomu. W czasie zimy długie i silne wiatry północne spowodować mogą zamarznięcie. Z zasady port nie zamarza szczególnie silnie, chyba że zima jest wyjątkowa, tak jak w roku 1946/47. W czasie normalnej zimy nie ma potrzeby nawet utrzymywania lodołamacza ponieważ statki same pokruszą cienką warstwę lodu. Drobną krę wynosi wówczas prąd rzeki na pełne morze, wykonując w ten sposób akcję oczyszczania portu z lodu.

Prace, których celem było uruchomienie portu, rozpoczęto w kwietniu 1947 r. i to z inicjatywy przemysłu węglowego. Centrali Produktów Węglowych chodziło o zwiększenie eksportu węgla polskiego na rynki zagraniczne i z tej przyczyny postanowiono uruchomić port. W tym celu przebudowane zostały tory kolejowe na długiej przestrzeni, przeprowadzono sondaż redy i portu oraz wykonano nowe oznakowanie torów wodnych.

W przyszłym roku port ma otrzymać dźwigi z demobilu angielskiego i na skutek tego zdolność przeładunkowa wzrośnie do 3—4000 ton dziennie.

Czesław Piskorski

Śpiewem dobrze się zasłużył swej biednej ojczyźnie

Jubileusz bułgarskiego artysty operowego Stefana Makedońskiego

Jedna z najpiękniejszych męskich postaci, jakie w życiu zdarza się spotykać. Pamiętam go z Paryża 1911 czy 1912 r., dokąd jako skończony już uczeń moskiewskiej Akademii Muzycznej przybył dla uzupełnienia swych studiów śpiewaczych - nauką dramatycznej. Każdorazowe zjawienie się jego na scenach czy estradach paryskich wywoływało prawdziwy entuzjazm wśród nieskornej do egzaltacji wobec obcych artystów publiczności.

„Czyż to możliwe, by to był Bułgar? — Co za postawa, co za elegancja, ile naturalnego wdzięku; co za słodycz głosu i jakie umiejętne „nietenorowe" posługiwanie się jego rozległą skalą! Skąd tyle kultury w grze, manierach, zachowaniu się, operowaniu spojrzeniem, gestykulacją, jak u rodowitego Francuza? — Takie powszechnie stawiano sobie pytania, śledząc z zainteresowaniem szybko i wszechstronnie rozwijający się talent bułgarskiego młodzieńca.

Wkrótce zniknął z Paryża, którego umiał wyzyskać wszystkie wartości ducha i piękna a uniknąć wszystkich powabów blichtru, szału i zepsucia. Zdrowa natura bałkańskiego górala poprowadziła go na szczyty właściwą drogą niełatwą na nowo stworzonej placówce bułgarskiej kultury. Wraz z niewielkim zespołem artystów i miłośników muzyki operowej pracował jak pionier na scenie sofijskiego Teatru Narodowego, kreując coraz to nowsze role bohaterów oper zagranicznych. Bułgarska literatura operowa jeszcze nie istniała; pierwsze kroki dopiero stawiano na tym polu, tworzą raczej widowiska ludowe, krótkie prologi dramatyczne lub okolicznościowe kompozycje chórowo-orkiestrowe z racji ważniejszych jubileuszów i uroczystości narodowych.

Pochodzi Makedoński z głośnego z czasów tureckich **Sliwenu,** także Sliwną zwanego. Stary to gród słowiański, zamieniony w czasie niewoli tureckiej w ponure, groźne kazamaty średniowieczne, w których katusze i śmierć znalazło wielu znanych i bezimiennych bojowników wolności, nie tylko Bułgarów, ale i Serbów, Polaków, Rumunów i Ukraińców, co w imię słusznych praw Bułgarii walczyli u jej boku przeciwko tureckiemu jarzmu. Z grodem tym wiąże się ściśle imię i postać niezapomnianego do dzisiaj twórcy i naczelnika kozaków sułtańskich (tzw. ‚Kazak-Ałaj', **Michała Sadyka-paszy Czajkowskiego,** kiedy to w 50-ych latach ub. w. organizował na wybrzeżu Morza Czarnego (Warna, Burgas, Sliwen i in.) swe ochotnicze oddziały pod komendą słowiańską, mające walczyć w razie najbliższej zawieruchy wojennej przeciw tyranii carskiej, dla wyzwolenia narodów słowiańskich. W tymże to grodzie organizowały się też z polskich i ukraińskich emigrantów po powstaniu listopadowym pierwsze drużyny śpiewacze i muzyczne, chóry i orkiestry, o których twórcach i dyrygentach, Polakach i Czechach, do dziś przechowała się pamięć wśród miejscowego społeczeństwa.

W takiej to atmosferze Sliweńskiego grodu wychował się i wyrósł na młodzieńca niezwykłej urody i o przepięknym głosie **Stefan Makedoński.** Idealizm, jaki wyniósł z tej atmosfery i otoczenia, prawdopodobnie przyczynił się do utrzymania się na wyżynie ducha, z którego nie sprowadziły go liczne pokusy, czyhające na pięknego Romea wśród wielkiego świata Zachodu. Wróciwszy do kraju, poświęcił się bez reszty dziełu opery narodowej. Wyjeżdżał i potem niejednokrotnie za granicę, zapraszany na gościnne występy, czy to do Bukaresztu i Belgradu, czy do Wiednia lub Berlina, do Włoch i Francji, zawsze jednak wracał z radosnym sercem do rodzinnej stolicy, w której czuł się najlepiej i której przez pół wieku był i jest najpiękniejszą ozdobą i dumą.

Urodzony w r. 1885, dziś liczy już lat 62, a jednak nie schodzi ze sceny i do dnia dzisiejszego czaruje swym młodzieńczym głosem, swą wspaniałą postawą, rzadką wytwornością gry. Pierwszorzędna szkoła śpiewu, jaką przeszedł za młodu w Moskwie, mistrzowskie wycyzelowanie gry aktorskiej, jakiego dokonał Paryż, długoletnia, niezmordowana praca w sofijskim **Towarzystwie Lirycznym,** jakie było inicjatorem stworzenia narodowej opery bułgarskiej — wszystko to zostawiło niezatarte ślady na pięknej naturze, charakterze i artystycznej indywidualności Makedońskiego.

Przełożywszy nad ponętne propozycje zagranicy obowiązek służby ojczyźnie, przez lat 30 spełniał na stołecznej scenie rolę pierwszego tenora zawsze z największą sumiennością, z nigdy nie słabnącym powodzeniem. Ponad 80 postaci dramatyczno-operowych ożywił swym przepięknym głosem, swą wzorową grą urodzonego artysty. Stanowią one dzisiaj dla młodego pokolenia bułgarskiego niewyczerpaną skarbnicę wzorów, na których kształtują się nowe talenty jego następców.

A nie było rzeczą łatwą przetrwać na tym posterunku w stolicy nieszczęsnej Bułgarii. Dwie krwawe wojny bałkańskie, dwie w zniszczając do ostateczności kraj i naród wojny światowe, kilka w międzyczasie wstrząsów wewnętrznych, jak rewolucje, pożar Teatru Narodowego, katastrofalne trzęsienie ziemi, a ostatnio twarda partyzantka antyhitlerowska — wszystko to przeżył, przetrzymał przy czynnym uczestnictwie **Stefan Makedoński** i jakby cudownym sposobem wyszedł cało,, by raz jeszcze zabłysnąć na scenie narodowej w nowej, republikańskiej Bułgarii, co wprawdzie wśród głodu, niedostatku i bolesnego poczycia krzywdy, jaka ją spotkała w ostatnim traktacie pokojowym — niezmożoną siłą ramion swego twardego jak bałkańska skała ludu dźwiga się z poniżenia i klęski, pnie się śmiało w górę w swym kulturalnym rozwoju.

Wieczór operowy, poświęcony przed dwoma tygodniami jubileuszowi Stefana Makedońskiego, zgromadził w Teatrze Narodowym tak olbrzymie tłumy, że trzeba było przejścia i korytarze otworzyć dla pragnących go słyszeć w tym uroczystym dniu wielbicieli i wielbicielek. Prezydent Republiki, **M. W. Kolrow** oraz członkowie rządu z premierem **M. G. Dymitrowem** na czele wzięli udział w podniosłej uroczystości, podczas której Makedoński, nie jak w młodzieńczej roli amanta Alfreda, w operze Verdiego **„Traviata"**, lecz w roli poważnego **Germone** zabłysnął ponownie całym blaskiem swej czarującej postaci, swego świetnego głosu, swej znakomitej gry.

Wśród przerw między aktami nie było końca owacjom i gratulacjom, a wręczony artyście przez Prezesa Gabinetu złoty medal „zasługi cywilnej" pięknym rozebrzmiał echem po całym kraju, że Stefan Makedoński „śpiewem swym dobrze się zasłużył swej skołatanej ojczyźnie". Równocześnie odsłonięto w hallu teatru przepiękny biust artysty, wykonany przez jednego z najwybitniejszych rzeźbiarzy

Ze strony polskiej przesłane zostały artyście i dyrekcji Opery Sofijskiej serdeczne gratulacje z ramienia krakowskiego oddziału **Komitetu Słowiańskiego** oraz **T-wa Przyjaźni Polsko-Bułgarskiej.** Wskazanym by było, by i **Związek Artystów Scen Polskich** oraz dyrekcje polskich oper przesłały też swe życzenia Jubilatowi.

Wład. Dobromilski.

BEZPŁATNE WIZY CZECHOSŁOWACKIE DLA ZWIEDZAJĄCYCH TARGI PRASKIE

Praga. Goście zagraniczni, pragnący zwiedzić w bieżacym roku Jesienne Targi Praskie, które odbywać się będą w Pradze w dniach od 5 do 14 września, mogą korzystać z bezpłatnej wizy wjazdowej, a to z ważnością na jeden miesiąc, aby przy tej okazji mogli zwiedzić również czechosłowackie miejscowości kąpielowe. Wizy te otrzymać można w konsulatach czechosłowackich za przedłożeniem legitymacji targowej, którą można nabyć we wszystkich biurach podróży. Na tej samej podstawie, zagraniczni goście, udający się na Targi Praskie, korzystają również z ulg na kolejach czechosłowackich.

ILE CZECHOSŁOWACJA LICZY MIESZKAŃCÓW?

Według ostatnich danych statystycznych liczy Czechosłowacja ogółem 12.087.000 mieszkańców; przyrost w ostatnich pięciu miesiącach wynosił 81.000, co odpowiada rocznemu przyrostowi w wysokości 1,6% Gęstość zaludnienia wynosi obecnie 95 na 1 km kw, czyli 83,33% w stosunku do roku 1938, kiedy gęstość zaludnienia Czechosłowacji wynosiła przeciętnie 114 na 1 km kw. Największą gęstość zaludnienia wykazują Morawy, gdzie na jednym kilometrze kwadratowym żyje 115 mieszkańców.

Polonia w Argentynie

Argentyna to kraj na ogół mało znany u nas, i rzadko się mówi czy pisze o tamtejszej Polonii, która jednak jest dość liczna, aby zasłużyć sobie na zainteresowanie Macierzy.

Argentyna, podbita i przyłączona do Hiszpanii w 1515 roku, uzyskała swą niezależność w roku 1810, wprowadzając liberalny ustrój federacyjny republiki i wzorując swą konstytucję na Stanach Zjednoczonych A. P. Język hiszpański pozostał językiem państwowym, ludność tubylcza — indiańska prawie zupełnie wyginęła: obecnie Argentyna jest państwem ludzi białych (96 proc.), niedobitki rasy czerwonej, murzyni i metysi tworzą 4 proc. jej ludności. Oczywiście największą grupę narodowościową tworzą Hiszpanie, potem Włosi. Ogólnie 73 proc. ludności jest urodzonych w Argentynie, 23 proc. urodzonych w Europie, widzimy stąd, jak ożywiony jest ruch imigracyjny w Argentynie. Nic dziwnego zresztą — Argentyna posiada jeszcze 384 mil. akrów ziemi odpowiedniej dla osadnictwa; mogłaby więc przyjąć około 100 mil. osadników. Liberalna polityka rządu sprzyja i popiera imigrację, co przy dużym przyroście naturalnym powoduje szybki wzrost liczby ludności.

W 1914 r. — Argentyna miała 7.900.000 ludności, w 1925 r. — już 9.500.000, a w 1933 r. — liczba osiągnęła 12.000.000.

Ludność Argentyny skupiona jest głównie w miastach, jak: Buenos Aires — 2.500.000, Rosario — 483.000, Cordoba — 250.000 itd., mimo że ogólny charakter kraju jest rolniczy, na co wpływa klimat, charakter powierzchni i ubóstwo kopalń. Ogółem 53 proc. ludności mieszka w miastach, 47 proc. na wsiach.

Już od XVI w. Argentyna jest terenem imigracji europejskiej, jednak do połowy XIX w. przyjeżdżają tylko Hiszpanie, którzy podbijają i tępią ludność tubylczą — Indian. Później imigrują Włosi, Niemcy i Słowianie, wśród nich — Polacy.

Polska imigracja datuje od roku 1880, jest to odgałęzienie znacznie liczniejsze potoku imigracyjnego z Polski do Brazylii. Argentyna dzieli się na 14 prowincji, z których każda posiada autonomiczny samorząd, na kresach zaś są terytoria rządzone przez gubernatorów rządu federalnego. Otóż dzięki przychylnemu ustosunkowaniu gubernatora terytorium Missiones, Francuza rodem, do Polaków — kilka tysięcy osiedliło się na tym terytorium.

I tak mamy w Missiones największe skupienie Polaków w Argentynie, sąsiadujące z brazylijskiemi stanami Rio Grande do Sul, S-ta Catharina i Parana, które też są terenem polskiego osadnictwa. Także pogranicze Urugwaju i Paragwaju zamieszkują Polacy, i w ten sposób powstał polski teren emigracyjny La Platy, którego poszczególne części położone w 4 państwach, posiadają jednak szereg cech wspólnych pod względem klimatycznym, gospodarczym i bytowania.

Terytorium Missiones, położone w międzyrzeczu Parany i Urugwaju, na półn.-wschodzie kraju, posiada klimat ciepły, oceaniczny, z wielką ilością opadów — od 1400 do 1800 mm. Teren ten należy do Entre-Rios (Międzyrzecze), które wraz z Pampą stanowią najbogatsze krainy Argentyny. Uprawia się tu pszenicę (światowej sławy pszenica argentyńska!), kukurydzę, trzcinę cukrową i wino. W północnych częściach tych okolic znajdują się plantacje owoców południowych: pomarańczy, bananów, ananasów, yerby (herbata płd.-amerykańska), nasion oleistych i nawet ryżu. Obszerne pastwiska są jeszcze jednym bogactwem tego kraju. — Stolicą Missiones jest Posadas, 30.000-ne miasto, główny port rzeczny w Argentynie Północnej, o dużej przyszłości.

Łącznie w latach 1921—1933 wyjechało z Polski do Argentyny 129.696 osób, wróciło 15.674.

Co do czasów przedwojennych, sprzed 1914 roku, bardzo trudno jest ustalić liczbę imigracji polskiej, bowiem w statystykach argentyńskich Polacy figurują jako „Rosjanie", „Niemcy" i „Austriacy" — odpowiednio do miejsca zamieszkania w jednym z trzech zaborów. Ogółem oblicza się, że przed I-szą wojną światową przybyło 8—10 tys. Polaków, z czego 80% osiedliło się w Missiones. Oprócz Missiones, mamy kilkutysięczne skupisko Polonii w Buenos Aires, w Rosario i innych większych miastach. Około 2.000 Polaków pracuje w Commodoro Rividavia, przy argentyńskich źródłach naftowych, wreszcie inni rozsiani są po całym Entre-Rios, Pampa i Chaco.

Pod względem zajęć — większość naszych imigrantów posiada zasobne gospodarstwa rolne, oparte na uprawie yerby, nasion oleistych, ryżu oraz plantacji owocowych, przeważnie w Missiones. W Buenos Aires i innych miastach znajduje się nieco polskich pracowników umysłowych, zatrudnionych w biurach, bankach itp. Istnieje także kilka polskich przedsiębiorstw rzemieślniczych i handlowych, m. innymi polska spółka kolonizacyjna „Vistula" parcelująca wśród osadników polskich zakupiony w Missiones majątek „Polana". Duża część naszej emigracji — to niewykwalifikowany, prosty robotnik, pracujący w dokach, urządzeniach portowych, w zakładach przemysłowych, w zamrażalniach lub przy kolei. Ogółem zarobki są dość wysokie, co nawet przy wielkich kosztach życia umożliwia składanie oszczędności.

Zgodnie z liberalnym duchem konstytucji argentyńskiej nie ma zasadniczych ograniczeń w stosunku do cudzoziemców. Jedynie z dobrodziejstw ustawy o odszkodowaniach za wypadki przy pracy — cudzoziemcy mogą korzystać tylko na zasadzie wzajemności ustalonej w drodze traktatowej, umowa taka została zawarta przez rząd polski z Argentyną przed II-gą wojną światową. Innych traktatów między Polską a Argentyną nie ma, jednak sytuacja naszych emigrantów, za wyjątkiem uprawnień politycznych, prawie że się nie różni pod względem prawnym od sytuacji obywateli argentyńskich.

Do opieki nad obywatelami polskimi w Argentynie są powołane: Poselstwo w Buenos Aires, Patronat Polski w Buenos Aires i Agencja Konsularna w Posadas (Missiones). Istnieje także w Buenos Aires Oddział Banku Polskiej Kasy Opieki, w celu ułatwienia wychodźstwu przechowywania oszczędności.

Z wyjątkiem dawniej osiadłego elementu osadniczego w Missiones, ogół Polonii argentyńskiej znajduje się jeszcze w pierwotnym stadium rozwojowym społeczeństwa emigracyjnego, które może być zakwalifikowane jako stadium penetracji. W zależności od tego stanu rzeczy życie arganizacyjne jest na ogół mało rozwinięte, powstanie organizacji lub stowarzyszenia wymaga mniej lub więcej licznej grupy wychodźczej, której zainteresowania wybiegają poza granice samej tylko kwestii walki o byt.

Ogólna liczba członków w rozmaitego rodzaju ugrupowaniach wynosi 1200—1400 osób, czyli 3% liczby Polaków. Istnieje 40 rozmaitego rodzaju organizacji i stowarzyszeń, z tego 18 — w okręgu Missiones. 34 mają charakter kulturalno-oświatowy, 4 — sportowy i 2 wzajemnej pomocy. 18 z 22 stowarzyszeń poza missioneńskich łączy się w zrzeszeniu konsolidacyjnym „Federacja — Dom Polski" z siedzibą w Buenos Aires, pięknym domem zakupionym dzięki ofiarności p. de Rocca, jednej z Polek zamieszkałych w Buenos Aires.

Szkolnictwo polskie, mimo że nie napotyka na żadne przeszkody ze strony rządu argentyńskiego, jednak z powodu struktur i rozproszenia naszego wychodźstwa, jest mało rozwinięte. Istnieje około 10 szkół polskich, do których uczęszcza około 300 dzieci, czyli zaledwie parę procent dzieci polskich w wieku szkolnym.

Prasę polską reprezentuje kilka czasopism.

W czasie ostatniej wojny nasi rodacy z Argentyny nie zostali w tyle za innymi Polakami z zagranicy, spiesząc Ojczyźnie z pomocą. Wielu z nich rzucało mienie i pracę, jadąc jako ochotnicy do Armii Polskiej, tworzącej się we Francji, przy czym musieli opłacić własnym kosztem podróż.

Debromira Tomaszewska

Guziki - Podszewki 394

do kostiumów, ubrań i płaszczy poleca w wielkim wyborze

T. Andrzejewski

Poznań, ulica Szkolna 12

Książki dla Ziem Odzyskanych

W ostatnim czasie do Wydziału Kulturalno-Oświatowego przy Zarządzie Głównym Polskiego Związku Zachodniego nadeszła skrzynia, zawierająca piękne, mało używane, a nawet zupełnie nowe podręczniki szkolne i książki beletrystyczne dla młodzieży szkolnej. Między przesłanymi książkami znajdują się dzieła największych polskich pisarzy i literatów jak: A. Mickiewicza, H. Sienkiewicza, Konopnickiej, Orzeszkowej, Prusa, Ujejskiego, Tetmajera, Morcinka, oraz wiele innych z literatury nowszej i najnowszej.

Książki te zebrane przez Obwód Polskiego Związku Zachodniego w Bielsku przy wybitnym współudziale V-tej drużyny harcerek z Bielska pod kierownictwem drużynowej dh. Kozłowskiej Jadwigi, zostaną przesłane do ośrodków wychowawczo-oświatowych na Ziemiach Odzyskanych.

Należy nadmienić, że akcję zbierania książek i wszelkich pomocy szkolnych dla młodzieży z terenów odzyskanych prowadzi Polski Związek Zachodni już od dwóch lat przy współudziale organizacji młodzieżowych i społecznych.

Każdy, kto rozumie, jak bardzo polska książka przyczynia się do zespolenia Ziem Zachodnich z Macierzą, pospieszy w nasze szeregi i czynem tym dowiedzie, że nie obce sercu i myśli Polaka są troski polskiego nauczyciela-wychowawcy na Ziemiach Zachodnich.

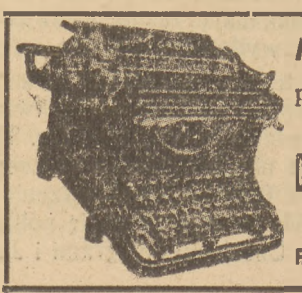

Maszyny biurowe Kupno - Sprzedaż

przeróbki na układ polski oraz wszelkie naprawy

Centrala Maszyn i Przyborów Biurowych

CZ. FILIPIAK

Poznań, św. Marcin 32, tel. 88-19

567

Książki i czasopisma

Janina Ender: Józef Lompa. (Wydawnictwo Instytutu Śląskiego, Pamiętniki Instytutu Śląskiego, Seria II. Tom IX). Katowice—Wrocław, 1947, str. 117. Cena zł 200,—.

Jest to praca źródłowa, która przedstawia na tle stosunków społeczno-prawnych na Śląsku na przełomie XVIII i XIX wieku, młodość Józefa Lompy, jego działalność nauczyciela wiejskiego, pedagogiczną i patriotyczno-polską, jego działalność pisarską, społeczną i oświatową. Barwnie opisuje autorka rozliczne i ciężkie przeszkody i trudności, jakie Lompa musiał zwalczać na drodze swej pracy, szykanowany i prześladowany przez władze pruskie, które doprowadziły go na starość do skrajnego ubóstwa, niemal nędzy, mimo rosnącej w całej Polsce jego sławy. Charakterystyka działalności pisarskiej Lompy zamyka tę pracę, będącą zarazem nader ciekawym przyczynkiem do poznania dziejów Polaków górnośląskich w XIX wieku.

Zdzisław Hierowski: 25 lat literatury na Śląsku (1920—1945). (Wydawnictwo Instytutu Śląskiego). Katowice, 1947, str. 208. Cena 330,— zł.

W serii „Pamiętniki Instytutu Śląskiego" ukazała się ostatnio praca krytyczno-literacka Zdzisława Hierowskiego, obejmująca rzut oka na literaturę na Śląsku w latach 1920—1945 Praca ta stanowi uzupełnienie dwutomowego dzieła W. Ogrodzińskiego: „Dzieje piśmiennictwa Śląskiego", ograniczając się jednak tematycznie do piśmiennictwa wyłącznie literackiego. Autor omawia bowiem szczegółowo twórczość przeszło trzydziestu pisarzy starszego i młodszego pokolenia zarówno Ślązaków jak i przedstawicieli z innych dzielnic osiadłych na Śląsku i poświęcających im uwagę tematem Śląska. Daje sylwetki poszczególnych poetów i prozaików oraz uzupełnia je zwięzłymi danymi biograficznymi zestawieniem prac drukowych osobno i celniejszych prac ogłoszonych w czasopismach oraz bibliograficznie ważniejszych omówień krytycznych. Książka ma przede wszystkim dużą wartość informacyjną. Pozwala czytelnikowi zorientować się dokładnie w życiu literackim Śląska na przestrzeni 25 lat ostatnich. Bilansuje ona ilościowo poważny dorobek i ukazuje kierunki rozwojowe literatury na Śląsku w czasach, gdy życie tej ziemi stało się tematem dzieł Zofii Kossak, Gojawiczyńskiej, gdy stało się źródłem zainteresowań poetyckich Juliana Przybosia i gdy Śląsk jednocześnie wydał własnego prozaika G. Morcinka, oraz grupę własnych interesujących poetów. Znajdujemy tu obraz śląskiego środowiska literackiego, uchwycony jeszcze przed tym dalszym zróżnicowaniem, jakie przyniosły ostatnie lata.

Prof. dr J. Kostrzewski: Biskupin (Wydawnictwo Wydz. Turystyki Min. Komunikacji).

Nakładem Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji ukazała się na półkach księgarskich broszura „Biskupin", opracowana przez dyrektora Instytutu Starożytności Słowiańskich dra J. Kostrzewskiego profesora Uniwersytetu w Poznaniu. Broszura zawiera opis wykopalisk, przeprowadzonych na terenie wsi Biskupin pod Gąsawą w powiecie żnińskim, nadto odtwarza życie mieszkańców prahistorycznego grodu, ich urządzenia domowe, budowle mieszkalne, inwentarz itp. Szereg ilustracji uzupełnia broszurę dając możność czytelnikom odzwierciedlenia życia naszych praojców przed 26 wiekami. Broszura przeznaczona w pierwszym rzędzie dla zwiedzających wykopaliska w Biskupinie i jest do nabycia na miejscu jak również w księgarniach całego kraju. Inicjatywę Wydziału Turystyki Min. Komunikacji poświęcenia pierwszej broszury turystycznej „Biskupinowi" powitać należy z uznaniem, „Biskupin" jako prastary gród słowiański jest nie tylko symbolem słowiańskości ziem między Wisłą i Odrą ale dokumentem świadczącym, że ziemie te były przed wiekami słowiańskie i takiemi pozostaną po wsze czasy. (stan.)

Jan Baranowicz, Madejowa klechda — Baśń sceniczna w 5 aktach z prologiem, Katowice 1947. Nakładem Księgarni św. Jacka, cena zł 120,—. (Rzecz nagrodzona na konkursie dramatycznym Światowego Związku Polaków z za granicy przed wojną).

Wżywy, bardzo sugestywny sposób udramatyzował autor historię księdza, którego duszę w niemowlęctwie ojciec rodzony nieświadomie diabłu zaprzedał. W walce zbrojnego jedynie w wiarę kapłana ze złymi mocami szatan zostaje pokonany. W baśń wpleciona jest zręcznie historia o zbóju Madeju, na ludowych opowieściach osnuta.

Kossak-Szatkowska, Beatum Scelus, Katowice 1947. Nakładem Księgarni św. Jacka, cena zł 220,—.

Dla zwolenników doskonałego pióra Zofii Kossak otwiera się możliwość rozczytywania się w jednym z jej arcydzieł „Beatum Scelus", w nowym wydaniu Księgarni św. Jacka w Katowicach. Historię porwania cudownego obrazu Matki Boskiej Kodeńskiej przez magnata polskiego Sapiehę czyta się jednym tchem, jak najciekawszą powieść, przeżywając głęboko przejścia bohatera „błogosławionej" w skutkach dla Polski „zbrodni".

Gustaw Morcinek, Listy z mojego Rzymu, Katowice 1947. Nakładem Księgarni św. Jacka, cena zł 240,—.

Prawdziwe piękno wiecznego miasta wyczarowane słowem „Poety serca" przeplata się w tych listach nierozerwalnie ze wspomnieniami obozowymi. Ale te wspomnienia nie psują harmonii obrazu wiecznego piękna, są bowiem wyrazem uciszonej już duszy autora, który trzyma czytelnika pod przemożnym urokiem swego pióra i nie pozwala oderwać się od tych kartek zdobionych dyskretnie a ze smakiem ilustracjami budowli i dzieł sztuki Rzymu.

Jan Gunia, Cudowny świat przygód, (wolny przekład) Katowice 1947. Nakładem Księgarni św. Jacka, cena zł 300,—.

Wykaz książek dla starszych dzieci wzbogacił się o jedną wartościową pozycję. Książka ta zaspokoi fantazję dziecięcą i trzymać będzie napewno w napięciu uwagę młodego czytelnika. Równocześnie odkrywa mu cudowne tajniki przyrody, pokazując przemodrze przez Stwórcę zorganizowane bytowanie najmniejszych stworzeń żyjących na ziemi.

Język przekładu bardzo poprawny, żywy, doskonale przystosowany do poziomu dziecka.

Walenty Majdański, Giganci, Katowice 1947. Nakładem Księgarni św. Jacka. Cena zł 380,—.

„Stwierdzam — pisał Karol Hubert Rostworowski o „Gigantach" — że za moich młodych lat młodzi tak nie pisali, takim językiem nie wolno było przemawiać do „oświeconych" akademików. Kto wie? Kto wie, czy ten Majdański nie ma lepszego wzroku, lepszego słuchu, twardszej kości pacierzowej i czy jego „ośla szczęka" nie okaże się najbardziej nowożytną bronią".

„Colas Breugnon" — Romain Rolland, wyd. „Wiedza".

Trudno w tej „niewinnej" powieści, tryskającej „swobodną wesołością galicką", poznać autora „Krzysztofa", skoro — jak to autor wyznaje — sam się on w niej nie poznaje. Niesposób wszakże zawsze chodzić w rynsztunku Krzysztofa. Colas, „siarczysty stary gaduła" obudził się bowiem w autorze i on to, Colas, jest właściwie prawym ojcem tej książki, z całą jej szczerością, prostotą, w dobrym francuskim guście, która śmieje się życiu w twarz, bowiem uważa je za dobre. Po latach rozpaczy i pogardy bierzemy więc tę książkę z rozkoszą i wdzięcznością. Dobrze usposabia nadto czytelnika gustowne jej wydanie.

„Łuk triumfalny" — Erich Maria Remarque, wyd. „Wiedza".

Pamiętając Remarque'a z jego powieści „Na zachodzie bez zmian", która tyle rozgłosu zyskała po pierwszej wojnie światowej, znamy jego pasję odkrywczą psychologa, pasję nierzadko brutalną. Ciekawa jest linia ewolucji zainteresowań autora. Od ludzi i upiorów z rowów frontowych lat 1914—1919 — do środowiska, będącego „jednym morzem ciemności" choć nad jego głowami nie unosi się śmierć od kuli. I jemu wszakże „zginął z oczu łuk triumfalny."

„Kłamałem, aby żyć" — Aleksander Janta-Połczyński, wyd. „Wiedza".

Nie powieść to, ale pamiętnik, opierający swą konstrukcję na arcytrudnym problemie kłamstwa w obronie życia. Problem m o r a l n i e nie istniejący, dla pierwszych chrześcijan i Giordanów Brunów, wyrósł po dwutysiącleciu chrześcijaństwa na podłożu b i o l o g i c z n y m. Zasiały go w sercach ludzi dzisiejszych, ludzi o nie kruchszych kręgosłupach, popioły milionów istnień, spłoszonych raptem, choć nie widziały one nawet placu boju. Powstanie w ogóle tego problemu — to rzecz straszna, a prawdziwa. „Skłamię, aby żyć" — postanawia Polak, podając się za Francuza. Wydaje się, że czytelnik dzisiejszy dojrzał, aby to zaprzaństwo zrozumieć i poniżoną wobec samej siebie jednostkę n i e j e d n o k r o t n i e oczyścić. Oby czas takiego problemu nie powrócił, rozrywającego niezabliźnione rany na świadectwo i hańbę czasu, który minął.

„Don Kiszot" — Miquel de Cervantes, wyd. „Wiedza".

Wznowienie arcydzieła literatury światowej z przeznaczeniem go dla młodzieży, musi wzbudzić uznanie dla wydawcy. Nie ma w tej książce — jak młodemu czytelnikowi wyjaśnia przedmówca — tak śmiesznej historii, której nie można by odwrócić i wytłumaczyć poważnie. „Nieśmiertelny dziwak jest radosnym symbolem zwycięskiego ducha ludzkiego, który pokonuje realną rzeczywistość." Młodzieży dziś trzeba tego przezwyciężenia bardziej, niż kiedykolwiek. Niech zrozumie ona tragiczny pafos opowieści i niech wybierze sama „komu wierzyć: czy idealiście Don Kiszotowi, czy wyzutemu z wszelkiego polotu Sanszy". Sugestywne rysunki Witza przybliżają młodej wyobraźni postaci książki i epokę.

Sprawozdanie Centr. Zarządu Przemysłu Hutniczego za lata 1945—1946. — Katowice 1947. — Nakładem Centr. Zarządu Przem. Hutniczego. Str. 260 + wykresy statystyczne.

Mimo ogromu zadań stojących po wojnie przed Państwem, odbudowa przemysłu hutniczego znalazła się na jednym z pierwszych miejsc. I choć nie wielki okres dzieli nas od końca wojny, ogłoszone sprawozdanie C. Z. P. H. przekonywuje nas o rzetelnym wysiłku i o dużych osiągnięciach na tym polu.

Przemysł hutniczy, jak zresztą wszystkie inne dziedziny naszej gospodarki, miał za zadanie nie tylko odbudować zdewastowane przez okupanta fabryki, ale przede wszystkim zorganizować pracę według zasad, wynikającej ze struktury demokratycznej Państwa. Pokonywując ogromne trudności, głównie z braku odpowiednich fachowców, polski robotnik i inżynier potrafili już w krótkim czasie rozpocząć produkcję i doprowadzić ją do stanu prawie że przedwojennego. Wprawdzie w planie produkcyjnym został uwzględniony na równi z resztą kraju przemysł hutniczy Ziem Odzyskanych (niedawno uruchomiono jeszcze jedną hutę w Stołczynie koło Szczecina) mimo to ogrom dokonań polskich jest prawdziwym sukcesem. Właśnie sprawozdanie C. Z. P. H. jest swego rodzaju hołdem, złożonym polskiemu robotnikowi.

W kilkunastu rozdziałach omówiono całokształt zagadnień związanych z przemysłem hutniczym, których nie wyczerpie krótka recenzja. Są one o tyle ciekawe, że poruszone w nich zostały nie tylko zagadnienia dotyczące organizacji przemysłu, produkcji, nowych inwestycji, rentowności, zbytu i surowców, ale również zagadnienia dotyczące człowieka, stosunku jego do pracy, wynagrodzeń za pracę, bezpieczeństwa, zorganizowania rozrywek kulturalnych i innych. Ze Sprawozdania wynika, jak gromną troską darzy przemysł hutniczy robotników. Poza tym sprawozdanie zawiera dziesiątki wykresów, tablic statystycznych i cyfr, co nadaje mu rzetelną, obiektywną wartość.

Całość została wydana w językach polskim i francuskim, służyć więc będzie zagranicy jako pierwszorzędny materiał o naszych osiągnięciach. (k.)

Z Otchłani Wieków — dwumiesięcznik poświęcony pradziejom Polski — Organ Muzeum Prehistorycznego i Instytutu Prehistorycznego Uniwersytetu Poznańskiego. Lipiec—sierpień 1947. Zeszyt VII/VIII.

Ostatni numer dwumiesięcznika „Z Otchani wieków" przynosi w stulecie urodzin wybitnego czeskiego prehistoryka J. L. Picza, szkic sylwetki tego twórcy czeskiej prehistorii i zasłużonego badacza starożytności słowiańskiej. W tymże numerze prof. dr J. Kostrzewski w artykule pt. „Cyprian Norwid a prehistoria" wnosi ciekawy przyczynek do badań nad Norwidem. Na treść numeru składają się również artykuły, dotyczące organizacji badań prehistorycznych oraz kwestia nauczania prehistorii w szkole. Poza tym w numerze aktualna kronika z zakresu prehistorii.

„Mickiewicz jako socjalista" — dr Bolesław Drobner, wyd. „Wiedza".

Usiłowanie człowieka partii spojrzenia na „symbol polityczny Polski" i „trybuna ludów", wcielonych w jednym sercu i mózgu.

„Ludwik Krzywicki jako teoretyk materializmu historycznego" — Oskar Lange, wyd. „Wiedza".

Broszura oświetlająca poglądy zmarłego podczas wojny marksisty, ujmującego samodzielniej niektóre zagadnienia. (Krz.)

Teatr Wrocławski ma dobre imię

Dyrektora Waldena zna już niewątpliwie cały Wrocław. Jeśli nie ze sceny to z codziennego życia, bo wszędzie go pełno. Ciągle coś załatwia dla swego teatru, zawsze niestrudzony, czynny i pełen entuzjazmu.

Moment objęcia teatru był bardzo ciężki. Stało się to już w sezonie. Kompletowanie personelu natrafiało na ogromne trudności, publiczność do teatru nie chodziła, brakowało wielu rzeczy, stosunek władz miejskich nie był specjalnie życzliwy. Trzeba było to zmienić, ustalić należyty poziom artystyczny, zorganizować zespół, a przede wszystkim wychować widownię. Z dumą podkreśla dyrektor Walden, że mu się to jednak udało.

Zespół powstał z trzech grup. Jedną z teatru wojskowego przywiózł ze sobą dyr. Walden, druga grupa to zaangażowani aktorzy i wreszcie trzecia to młodzież aktorska po studiach. Wszystkie te grupy zgrały się i wytworzyły obecnie tak sprzyjającą dla pracy atmosferę opartą na wysokim poczuciu koleżeństwa, że przyjeżdżający na krótko artyści wsiąkają w teatr i pozostają we Wrocławiu na dłuższy okres czasu. Tak było z Kurnakowiczem, który przyjechał tylko na miesiąc, a siedział pół roku, z Damięckim i Górską, którzy wybrali się na miesiąc, a siedzieli kilka.

Repertuar z początku lekki, popularny, nabierał powoli wyrazu i w drugim półroczu miał cały szereg bardzo poważnych pozycji.

Przeobraziła się widownia po bardzo krótkim wstępnym okresie, kiedy świeciła pustkami, nastąpił długi czas wypełniony kompletami. Sztuki szły po 30 i 40 razy zawsze przy pełnej widowni. Gorąco i serdecznie ustosunkował się do teatru świat pracy, wdzięczny za stosunek do niego dyrekcji teatru. Związki zawodowe otrzymywały zniżki na wszystkie przedstawienia poczynając od premiery. W ciągu sezonu dano trzynaście premier rozpoczynając „Panem Jowialskim", który swoje uśmiechnięte oblicze pokazywał przez 270 przedstawień. Teatr grywał również na prowincji w Jeleniej Górze, Legnicy, Wałbrzychu, Świdnicy, Kamiennej Górze i Trzebnicy, wykorzystując dnie, w których grała w gmachu teatru Opera. Wszędzie cieszono się wielkim powodzeniem, wszędzie komplety... 160 000 widzów w ciągu tego roku pracy to prawdziwy sukces.

Po rocznej zaledwie pracy teatr zdobył popularność, publiczność, pozyskał uznanie władz państwowych, pozyskał nawet władze miejskie. Stosunek ostatnich stał się bardzo życzliwy, co uzewnętrzniło się w przydziale domu mieszkalnego dla personelu i zapewnieniu kredytów na jego remont. Do tego czasu mieszkania były największą zgryzotą, gdyż pokoje hotelowe nie dawały warunków dla spokojnej pracy.

A jak z nowym sezonem?

Program nie uzyskał jeszcze zatwierdzenia, więc dyrektor nie chce go szczegółowo omawiać. Będzie jednak Otello, Horsztyński, Sułkowski. Poprzedzą sezon występy Teatru Wojska Polskiego, Romanówny i Kreczmera. Będzie w sezonie na pewno Kurnakowicz i inni na występach gościnnych. Dowiadujemy się, że w przyszłym sezonie będą działały dwa teatry, gdyż potrzeba teatru kameralnego jest niewątpliwa i istnienie jego zostało zdecydowane.

Wielkim sukcesem jest również to, że budżet teatru został zrównoważony i to tak dalece, że nawet projektuje się premie dla aktorów... Największe jednak uznanie należy się zdaniem dyr. Waldena publiczności, której ustosunkowanie się do teatru było niezwykle serdeczne, manifestowane zarówno frekwencją jak i stosem listów do teatru i aktorów. Świat pracy, a szczególnie kolejarze, związali się z teatrem szczerym i głębokim sentymentem.

J. R. S.

KOMUNIKAT W SPRAWIE PACZEK ZAGRANICZNYCH

PCK Okręg Wielkop. ul. Asnyka 5 poszukuje Antoniny Smolicz, Weroniki Brandt, Olgi Zdebskiej, Jakóba Gorgurewicza i Józefa Garbasa, zamieszkałych w nieznanych miejscowościach. Poszukiwanych prosimy o zgłoszenie się do PCK Ref. Paczk. Asnyka 5 II, celem odebrania paczek z zagranicy.

Kto zna rodzinę Fr. Ciersza, przebywającego obecnie za granicą? Zgłoszenia prosimy skierować do PCK Okręg Wielkop. Poznań, ul. Asnyka 5, III p. Ref. Paczkowy.

Mili goście z Łużyc

Wśród setek dzieci z Rzeszy Polska gości obecnie dzieci bratniego narodu Serbów łużyckich. Przyjechały w środę, dnia 7 sierpnia przez Drezno i Berlin do Poznania, gdzie się nimi zaopiekowali przedstawiciele Kuratorum Okręgu Szkolnego w Poznaniu, Prołużu i P. Z. Z. Jest ich razem 32 osoby, 19 dziewczynek, 9 chłopców, trzy panienki w strojach narodowych jako opiekunki i kierownik grupy, sekretarz Młodzieży Łużyckiej, p. Jan Żur.

Już w Berlinie — po niemałych przeżyciach z zazdrosnymi o „polskie" (tzn. obfite) wakacje niemrami — zaznały dzieci łużyckie, co to znaczy znaleźć się pod opiekuńczymi skrzydłami Polski. Nie chciały wierzyć, że istnieje biały chleb, dziwiły się okraszonej sowicie zupie, nie wiedziały, czy są w raju, a to wszystko smaczna rzeczywistość. Przekroczenie granic odbyło się bez trudności. Zarówno oficerowie Armii Radzieckiej jak i Wojska Polskiego przywitali małych gości nader serdecznie. A w Poznaniu, gdzie pierwszy telefon o przyjeździe „kolonistów" otrzymało Kuratorium (w Berlinie wiedzą, że jak dzieci na kolonie do Polski jadą, to tylko do Kuratorium dzwonić, ono ma już wprawę i doświadczenie!), zakipiało. Po sutem śniadaniu, gdy dziatwa spała w Stacji Opieki nad Matką i Dzieckiem — delegacja młodzieży, zarazem grupa kierownicza, wyruszyła na miasto, by przedstawić się w strojach narodowych miastu Chrobrego (który w roku 1018 bawił w Budziszynie). Droga z dworca na plac Wolności była pochodem, Poznaniacy podziwiali smukłe Łużyczanki i Poznanianki z zaciekawieniem patrzały na piękne stroje. „Łużyczanki, Łużyczanki" — wciąż trzeba było odpowiadać na różne pytania, tłumaczyć, dawać wyjaśnienia. Poznań po długich latach znów zobaczył po raz pierwszy swoje najbliższe krewniaczki.

Obiad — bardzo zresztą smaczny i obfity — spożyli mili goście w Zakładzie Sióstr Serafitek u św. Rocha za Wartą. Siostrom należy się gorące „Bóg zapłać!". — Samochodem przejeżdżając przez główne części miasta, dzieci miały okazję obserwować ruch i życie w Poznaniu. I jakie były zdania? Że Poznań jest o wiele czystszy od Berlina, że można tu żyć, żyć i cieszyć się z życia.

Nasycona, obdarowana cukierkami, fotografowana, z twarzami lśniącymi i z blaskiem radości w oczach wyruszyła cała grupa popołudniu do Jarocina, gdzie rzecz jasna „Przyjaciele Łużyc" dołożą wszelkich starań, by pobyt dzieci jedynej łużyckiej szkoły powszechnej w Budziszynie był jak najpiękniejszy. I później dzieci na pewno będą wspominać o tych krótkich tygodniach długo i z żalem zapewne wydobędzie im się z wdzięcznych serc westchnienie: „Ach, jak to w Polsce, w Jarocinie było ładnie"

Bo trzeba wiedzieć, że sytuacja żywnościowa na Łużycach jest bardzo smutna. Z 160 dzieci szkoły łużyckiej tylko 5 (pięć) jest zdrowych!

Podziękowanie ślą te dzieci i wraz z nimi cały naród łużycki pod adresem „Prołużu", Przyjaciół Łużyc w Polsce, całego społeczeństwa polskiego, oraz pod adresem władz okupacyjnych radzieckich w Niemczech, które im pozwoliły i ułatwiły wyjazd z Rzeszy i wszystkim organizacjom i władzom polskim, które dały im możność wygodnego dostania się do kraju „mlekiem i miodem płynącym".

WANAW

Z TYGODNIA PCK

Dochód osiągnięty w Tygodniu PCK (1/6. — 8/6. 47) jest na ogół dość duży. Z kwest wpłynęło dotychczas — 1.142.600 zł, z różnych imprez — 1.577.641 zł. Nie są to cyfry ostateczne z uwagi na to, że do dziś nie wszystkie listy zbiórkowe zostały zwrócone, nie wszystkie Oddziały nadesłały rozliczenia.

Kwestowała młodzież szkół wyższych z akademikami na czele, kwestowali pracownicy PCK i członkowie Kół PCK, burmistrzowie i starostowie. W Poznaniu zaś wojewoda Stefan Brzeziński ceniąc wysoko zadania i cele PCK, dał wyraz obywatelsko pojętym obowiązkom, biorąc udział w kwescie w dniu 1/6. 47.

Podziękowanie i uznanie należy się wszystkim, którzy opracowali program Tygodnia PCK i władzom, które umożliwiły zorganizowanie Tygodnia. Podziękowanie należy się także społeczeństwu za wielką, szczerą ofiarność, za grosz — mimo zubożenia — hojnie rzucany do puszek kwestarzy.

Reasumując wysiłek naszej pracy i udział w niej ze strony społeczeństwa, możemy z zadowoleniem stwierdzić, że wynik był dodatni

KRONIKA ZIEM ZACHODNICH

Nasi górnicy na pierwszym miejscu

Odznaczenie zasłużonych pracowników przemysłu węglowego

Katowice. Polski Przemysł Węglowy po wydobyciu 100 milionów ton węgla ma do zanotowania nowy sukces. W lipcu 1947 r. osiągnęto po raz pierwszy wydobycie miesięczne z górą 5 milionów ton węgla. Ponadto osiągnięto rekordową ilość, bo ponad 2 miliony ton węgla i koksu eksportowanego.

Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego w Katowicach odznaczył 18 zasłużonych pracowników złotymi, srebrnymi i brązowymi krzyżami zasługi. W liczbie nagrodzonych znajdują się dyrektorzy i zwykli górnicy, inżynierowie i wynalazcy — słowem przy odznaczeniach brano pod uwagę pracę danej jednostki. Wręczenia odznak dokonał wojewoda śląsko-dąbrowski.

Złote krzyże zasługi otrzymali: Cechak Kazimierz — dyrektor Okręgowej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu, inż. Gawędzki Michał — dyrektor kopalni „Katowice", inż. Kulczyński Kazimierz — dyr. działu budowlanego CZPW. inż. Parysiewicz Witold — dyr. kopalni „Wujek" (Zjednoczenie Katowickie), inż. Pordes Wilhelm, naczelny dyr. Zjednoczenia Biur Projektów Montażowych, inż. Woźnica Franciszek — nacz. dyr. Katowickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego.

Srebrny krzyż otrzymali: Drozd Józef — rębacz kopalni „Łagiewniki" (Bytomskie Zjednoczenie), inż. Gadomski Janusz — dyr. kopalni „Prezydent", inż. Gębik Jan — dyr. kopalni „Karol" (Rudzkie Zjednoczenie), Magner Antoni — górnik kopalni „Jowisz" (Dąbrowskie Zjednoczenie), Malina Józef — rębacz kopalni „Zabrze Wschód", inż. Mieszczak Stanisław — dyr. kopalni „Knurów" (Gliwickie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego), Skrzyszowski Zbigniew — dyr. administracyjny Zjednoczenia Przemysłu Węglowego Brunatnego, inż Widlarz Tadeusz, dyr. kopalni „Mieszko" (Dolno-Śląskie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego).

Brązowy krzyż zasługi dostali: Bogusz Jan — woźny CZPW, Dudała Józef — strażnik CZPW, Gepferd Franciszek — stolarz CZPW, Szczyrba Robert, portier CZPW.

Złotów — zawsze wierny

Za wzór repolonizacji Ziem Odzyskanych, pośród innych miast tych terenów, służyć może bez wątpienia Złotów, miasto powiatowe. Mimo półtorawiekowej niewoli germańskiej nie straciło ono dotąd swego polskiego charakteru, ujmując tym serce każdego przybysza. Piękny stary katolicki kościół, dominujący nad miastem, co dzień odwiedzany przez setki wiernych, jak ongiś przed laty jest sędziwym niemym świadkiem historii Złotowa, świadkiem, który przeżył jego świetności, jego walkę o polskość z germańskim najeźdźcą, gdy o jego mury rozbijały się wraże zakusy na ducha polskości. Ulice miasta, odznaczające się wzorową czystością, zabudowane niewysokimi kamieniczkami, tętnią życiem odrodzonym w duchu polskim, tonąc w rozgwarze polskiej mowy, polskiej pieśni.

Każda ulica, każda jej nazwa tchnie tradycją przeżytych chwil, przywodząc na pamięć coraz to nowe momenty i postacie z walk o wolność, o polskość i o pognębienie germanizmu. Zwalone tu i tam domy stanowią żałosne ślady mściwej stopy germańskiej.

Gdyby złotowskie kamienie przemówić mogły, opowiedziałyby ciekawe dzieje, które przeżywała tameczna ludność — polscy autochtoni — strażnicy polskości na tym terenie we walce z germanizmem. Mieszkańcy zasiedziali uśmiechają się przyjaźnie do przybyszów i spokojnym głosem, w gwarze swej, nie zawsze należycie zrozumianej, snują swą skargę o prześladowaniach na przestrzeni półtorasetnej niewoli za wiarę swą w sprawiedliwość dziejową, za wierność i miłość dla polskości, za gotowość do wszelkich ofiar dla swej Macierzy.

Pieniądze na odbudowę zagród znajdą się

Olsztyn. Postępujący szybko proces osadnictwa w wojew. olsztyńskim wytworzył w tym roku na terenie wsi szereg nowych potrzeb, domagających się natychmiastowego załatwienia. Do ich liczby należy w pierwszym rzędzie doprowadzenie do stanu używalności objętych ostatnio przez osadników zniszczonych zagród. Liczba ich przekracza 12 tysięcy.

Na wyremontowanie tak znacznej ilości zabudowań Ministerstwo Odbudowy przyznało w tym roku kredyt. Dla wyjaśnienia na miejscu rozmiarów koniecznych kredytów na odbudowę wsi, przybył do Olsztyna wiceminister odbudowy inż. St. Pietrusiewicz, który niezwłocznie po przybyciu odbył narady z wyższymi przedstawicielami władz wojewódzkich. W toku tych konferencji przedstawiciel rządu oświadczył, że czynniki centralne zdają sobie sprawę z powagi i pilności zagadnienia, i gotowe są jeszcze w tym sezonie budowlanym przydzielić województwu wystarczające kredyty na wykonanie robót remontowych w granicach zapewniających nowym osadnikom ludzkie przetrwanie zimy. Rozmiary tych kredytów zostaną ustalone wkrótce. Władze wojewódzkie ze swej strony zapewniły, że są technicznie przygotowane do podjęcia tych robót i zakończenia ich w terminie.

Gdzie się wino leje — tam się dobrze dzieje

Na Dolnym Śląsku kwitnie produkcja win, soków i moszczy

Wrocław. Wytwórnie na terenie Dolnego Śląska, podlegające Zjednoczeniu Przemysłu Fermentacyjnego, produkują wina owocowe, soki i moszcze.

Największa wytwórnia znajduje się we Wrocławiu i zajmie w najbliższym czasie były browar Haasego. Produkcja jej wynosi obecnie do 300.000 litrów rocznie.

Drugi wielki zakład obejmuje 4 fabryki win i 1 fabrykę płynnego owocu. Pozostałe wytwórnie mieszczą się w Wałbrzychu, Jeleniej Górze, Lubaniu itd. Zamierzona produkcja na rok 1948 wyniesie około 1.000.000 litrów wina, 300.000 l soków i syropów oraz 300.000 l płynnego owocu i 1.000.000 moszczu owocowego.

W stosunku do 1947 roku jest to zwiększenie produkcji o 40%.

W bieżącym sezonie Zjednoczenie zakupiło już 20 ton wisien w Poznańskiem, 120 ton czarnych jagód i około 150 ton porzeczek.

Charakterystycznym jest, że najbardziej potrzebny dla produkcji win owoc, jakim jest porzeczka, znajduje się w obfitości na terenie Dolnego Śląska i jest tak tani, że nie opłaci się zbierać go. Przeciętna cena porzeczek wynosi 20 do 25 zł za 1 kg, a zbieranie 20 zł od kilograma, toteż właściciele sadów w trzebnickim powiecie odmówili dostarczania tego surowca i Zjednoczenie musiało samo zorganizować zbiór. Obecnie zbiera około 100 osób porzeczki w tym powiecie z ramienia Zjednoczenia.

Jedną z bolączek przemysłu winnego jest w chwili obecnej wybitny brak masy filtracyjnej (azbest) i kwasu mrówkowego.

15 chórów Ziemi Kaszubskiej wzięło udział w manifestacyjnym zjeździe w Lęborku

Lębork. Ostatnio odbył się w Lęborku manifestacyjny zjazd śpiewaczy z V-go okręgu kaszubskiego Związku Śpiewaczego. W zjeździe wzięło udział 15 chórów Ziemi Kaszubskiej. Śpiewaków i gości powitano uroczyście na dworcu. Następnie uczestnicy zjazdu przemaszerowali ulicami miasta do kościoła parafialnego, gdzie wysłuchali nabożeństwa z współudziałem chóru św. Cecylii z Kościerzyny, który wykonał polską mszę Moniuszki. Po nabożeństwie śpiewacy z orkiestrą Marynarki Wojennej na czele udali się do Liceum Pedagogicznego. Uroczystego otwarcia zjazdu dokonał prezes V-tego Okręgu śpiewaczego p. Lorenz. Mówca przywitał brać śpiewaczą i nawiązał do roku 1912, kiedy to Kościerzyna urządziła po raz pierwszy tego rodzaju zjazd. Pamięć największego działacza śpiewaczego na Kaszubach Westfala uczczono ufundowaniem złotego łańcucha, jako nagrody wędrownej dla najlepszego chóru. Z kolei przemawiał starosta Mrowiński, delegat z Torunia Bruski, przedstawiciel Wojska Polskiego, burmistrz Wejherowa i Grzegorz Hamada w imieniu V Okręgu śpiewaczego gdańskiego. W przerwach między przemówieniami połączone chóry męskie odśpiewały „Gaude Mater Polonia" i „O ziemio ojców" pod batutą prof. Betlejewskiego z Gdyni, chóry mieszane natomiast wykonały „Przylecieli sokołowie" Moniuszki i „Hymn Pomorza" Moczyńskiego. Po wspólnym obiedzie, podczas którego koncertowała orkiestra Marynarki Wojennej, rozpoczął się konkurs chórów śpiewaczych.

Jury w składzie: Roman Heising, prof. Tadeusz Tylewski, wizytator Józef Bruński, przyznało następujące nagrody: 1) przechodni (złoty łańcuch zdobył chór mieszany św. Cecylii z Kościerzyny pod batutą Szopińskiego; 2) puhar srebrny chór męski „Harmonia" z Wejherowa, dyrygent Betlejewski; 3) chór kościelny mieszany z Wejherowa, dyrygent Kurowski, 4) chór męski św. Cecylii z Darłowa, dyrygent Milewski, 5) mieszany chór „Symfonia" z Gdyni, dyrygent Betlejewski, 6) chór mieszany św. Cecylii z Pucka pod batutą Dorawy, 7 chór Auxilium z Rumii, dyrygent ks. Rochański, 8) chór mieszany św. Cecylii z Darłowa pod batutą Milewskiego. Po za konkursem śpiewał chór Moniuszki z Gdańska pod batutą członka Jury prof. Tadeusza Tylewskiego.

ŚLEDZI W OLIWIE I W POMIDORACH NIE ZABRAKNIE

Sezon połowów śledziowych w całej pełni

Gdynia. W związku z rozpoczęciem sezonu dalekomorskich połowów śledziowych państwowe przetwórnie rybne w Gdyni przystępują do intensywnej pracy przetwórczej, a mianowicie do solenia i produkcji konserw trwałych, jak marynaty śledziowe, śledzie w oliwie i śledzie w pomidorach. Planuje się przerób w przetwórniach państwowych około 800 ton w ciągu sezonu. Także w zakresie produkcji konserw z surowca słodkowodnego planuje się ożywienie w związku z zakontraktowaniem od Centrali Rybnej dostawy 20 ton ryby słodkowodnej tygodniowo. Wymienione konserwy są przeznaczone tak na rynek krajowy, jak i zewnętrzny.

OSADNICY PRZYBYWAJĄ TŁUMNIE WIOZĄC KONIE, KROWY, KOZY I OWCE

Człuchów. Na teren powiatu człuchowskiego napłynęła w miesiącach od maja do czerwca wielka fala osadników z województwa rzeszowskiego i lubelskiego. Ogółem przybyło przeszło 6 tysięcy ludności wiejskiej, która zajęła prawie ze wszystkie wolne gospodarstwa. Ludność ta przywiozła ze sobą dość dużą ilość inwentarza żywego, konie i krowy, a głównie kozy i owce. Razem z przybyłymi przesiedleńcami powiat liczy obecnie 20 tysięcy ludności polskiej, a tylko 4.300 Niemców.

Tak się powinno obchodzić uroczystości

W wielką rocznicę 950-lecia Miasta Gdańska najbiedniejsi otrzymali mieszkania

Gdańsk. 10 sierpnia Gdańsk święcił 950-lecie swego historycznego istnienia. Na życzenie Prezydenta Rzplitej Bolesława Bieruta obchód odbył się w skromnych rozmiarach, natomiast zgodnie z wolą Prezydenta pieniądze preliminowane pierwotnie na urządzenie uroczystości jubileuszowych przeznaczono na odbudowę domu przy ul. Lignickiej 16 w Gdańsku. Dom ten został już kosztem 5 i pół mil. zł odbudowany i w dniu uroczystości 22 najbiedniejsze rodziny pracujące otrzymały w nim mieszkania 2-pokojowe z kuchnią. Największą część mieszkań otrzymali najbiedniejsi robotnicy, zasługujący na to dzięki swojej pracy. Ludność ta w obejmowanych mieszkaniach znalazła częściowe wyposażenie meblowe, o które postarał się Zarząd Miejski, oraz dość obficie zaopatrzoną śpiżarnię. W każdym mieszkaniu pozostawiono artykuły spożywcze wartości około 10 tys. zł. Artykuły te pochodzą z daru Gdańskiej Spółdzielni Spożywców, która przeznaczyła dla najbiedniejszej ludności 4 tony żywności.

Przemysł lniarski potrzebuje ludzi do pracy

Żary (D. Śl.). Państwowemu Zjednoczeniu Przemysłu Lniarskiego nr 13 w Żarach podlega na terenie Dolnego Śląska: 1 roszarnia lnu, 2 przędzalnie mokre oraz 3 tkalnie. Wszystkie te zakłady są już czynne, poważnie przekraczając planową produkcję miesięczną.

Jeśli chodzi o maksymalną zdolność produkcyjną przędzalni mokrych, to wynosi ona ogółem 90.000 kg miesięcznie, ale w chwili obecnej sięga tylko 50.000 kg, co się tłumaczy brakiem wyszkolonego personelu. Brak kwalifikowanych robotników odbiją się fatalnie na produkcji, czego dowodem jest choćby to, że tkalnie przy obecnym parku maszynowym mogłyby pokryć całkowitą zdolność produkcyjną, wyrabiając miesięcznie 350 tys. m, a produkują tylko 200 tys. m jedynie ze względu na brak sił fachowych.

Najlepszym elementem w pracy są repatrianci zza Bugu, gdyż po osiedleniu się nie opuszczają swoich miejsc zarobku, a ponadto są sumienni i dokładni w wykonywaniu zakreślonej pracy.

Przy wszystkich fabrykach zjednoczenia istnieją żłóbki dla dzieci, których matki zatrudnione są w pracy, dobra stołówka i świetlice. Mimo wielu trudności z personelem oraz brakiem taboru i często przeróżnych materiałów technicznych Zjednoczenie nie posiada żadnych długów mając całkowicie zrównoważony budżet.

W najbliższych tygodniach zostanie uruchomiona 1 przędzalnia sucha, której miesięczna produkcja będzie wynosiła od 15.000 do 18.000 kg przędzy lnianej.

Są szkoły ale brak podręczników

W powiecie jeleniogórskim 54 szkoły powszechne — 7.500 dzieci

Jelenia Góra. Powiat jeleniogórski jest jednym z najbardziej zaludnionych powiatów Dolnego Śląska. Duży odsetek mieszkańców miast i wsi powiatu stanowią dzieci w wieku szkolnym. Jest ich tu dokładnie 7.462; z tego 7.187 dzieci uczęszczało do szkół w ostatnim roku szkolnym. Reszta albo uczyła się w domu, albo wcale się nie uczyła. Sprawa ta w nowym roku szkolnym ulegnie zasadniczej zmianie, do czego bezwzględnie przyczyni się otwarcie jeszcze dwóch szkół.

Powiat jeleniogórski posiada ogółem 54 szkoły powszechne, w tym: 21 szkół o jednym nauczycielu, 10 szkół o dwóch nauczycielach, 4 szkoły o trzech nauczycielach oraz 19 szkół o czterech i więcej nauczycielach. Od września będą jeszcze czynne dwie szkoły wiejskie, z których każda będzie miała po jednym nauczycielu.

Wszystkie szkoły powszechne na terenie powiatu jeleniogórskiego były dotąd szkołami siedmioklasowymi, od nowego roku szkolnego projektuje się w czterech z nich wprowadzić klasę ósmą, 4 szkoły powiatu posiadają, jako przedmiot obowiązkowy, naukę języka angielskiego.

Większość szkół powszechnych cierpi na brak dostatecznej ilości odpowiednich pomocy naukowych oraz podręczników szkolnych. Również duże braki odczuwa się na odcinku zaopatrzenia bibliotek szkolnych w odpowiednie książki, a potrzeby są ogromne. Dzieci i młodzież łakną dobrej książki...

We wszystkich szkołach powszechnych powiatu jeleniogórskiego jest 210 nauczycieli, z tego 92 w samym mieście Jelenia Góra, które posiada około 3.300 uczących się dzieci i młodzieży.

Spośród tych, którzy pracują w miejscowym szkolnictwie powszechnym, wyróżnić należy: podinspektora Michalskiego i kierownika szkoły nr 1 w Jeleniej Górze, Mroza. Obaj ci ludzie pracują nie tylko z obowiązku, ale szczerze i z poświęceniem oddają się pięknemu dziełu nauczania i wychowywania młodego pokolenia.

FARMA ZIÓŁ LECZNICZYCH POD ZŁOTOWEM

Złotów. Na założonej pod Złotowem na Pomorzu Zachodnim pierwszej plantacji ziół leczniczych odbywają się żniwa. Rumianek już został zebrany i to z dobrymi wynikami; obecnie przystąpiono do zbioru mięty. W najbliższym czasie zebrana zostanie waleriana.

Plantacja powstała z inicjatywy złotowskiego aptekarza mgr Chojnackiego i rozwija się pomyślnie. Aptekarz myśli już o jej rozszerzeniu. Wysoki poziom farmy zielarskiej spowodował, że zainteresowało się nią również Ministerstwo Zdrowia.

BĘDZIE ZIARNO I PIENIĄDZE

Olsztyn. Miejscowe czynniki administracji rolnej obliczyły rozmiary koniecznej pomocy siewnej dla ludności rolnej województwa olsztyńskiego w jesieni tego roku na 20.000 ton zbóż. Ostatnio nadeszła z Min. Ziem Odzyskanych wiadomość, że województwo otrzyma z tego tytułu 12.000 ton żyta i 2.000 ton pszenicy, a ponadto kredyt dla drobnych rolników w sumie 25 mil. zł na zakup brakującego materiału siewnego na wolnym rynku.

Jesienna akcja siewna rozpocznie się w pierwszych dniach września i potrwa do końca tego miesiąca. Rolnicy już orzą ziemię pod nowe zasiewy.

NA NOGACIE POPŁYNĄ STATKI

Gdynia. Z końcem sierpnia Dyrekcja Dróg Wodnych odda do użytku nową arterię komunikacji wodnej, mianowicie Nogat, na którym zostanie uruchomiona żegluga. Nogat będzie stanowił drugie połączenie Wisły do Elbląga. Droga Nogatem z Gdańska do Elbląga będzie krótsza i z tego względu dogodniejsza. Na odbudowę śluz na Nogacie wydano 25 mil. zł.

SOPOT WYKARASKAŁ SIĘ Z DŁUGÓW

Sopot. Finanse Sopotu były do niedawna najsłabszą stroną Zarządu Miejskiego, miasto bowiem wykazywało duży deficyt. Stan ten należy już do przeszłości, gdyż miasto wykazuje przewagę po stronie dochodów. Wpływy finansowe, które preliminowane były na 28 mil. zł, wyniosły faktycznie w ub. półroczu 32.129 tys. zł (110%). Rozchód wykazuje w porównaniu z preliminarzem budżetowym znaczną obniżkę, gdyż z preliminowanej sumy 24 mil. zł wydatków wydano 85% bez uszczuplenia zasadniczych i koniecznych wydatków miejskich.

Redaktor naczelny Bohdan Danielewski przyjmuje od godz. 10—12. Redakcja i Administracja ul. Chełmońskiego 2, czynne od godz. 8—15. Tel. 68-22. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Za niedostarczenia pisma, spowodowane siłą wyższą, nie odpowiadamy. Prenumerata miesięczna 35,— zł. kwartalna 105,— zł.

CENNIK OGŁOSZEŃ. Ogłoszenia: za 1 mm szpalty szer. 54 mm — 36,— zł, w tekście 100% drożej. Ogłoszenia drobne do 10 słów 50.— zł, za każde dalsze słowo — 10,— zł. Słowo tłustym drukiem podwójnie. Wszelkie wpłaty należy kierować na k-to PKO V 42-28

Nakładem Zarządu Głównego PZZ. — Tłoczono w Drukarni św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu. K-32624